Cena 7 zł

ODRA

TYGODNIK LITERACKO-SPOŁECZNY

Rok II | Katowice, Wrocław, Szczecin, 21 lipca 1946 r. | Nr. 23 (34)

Biblioteka

Witold Taszycki

Rzecz międzynarodowej sprawiedliwości

Z licznych plemion słowiańskich, siedzących ongiś nad Łabą, a nawet za nią sięgających, oparli się germanizacji tylko Łużyczanie. Zrazu tworzyli państwo samodzielne. Rychło jednak, bo już w 2 połowie w. X popadli w niewolę niemiecką. W r. 1018 wyzwolił ich z niej Bolesław Chrobry i w pokoju budziszyńskim, z cesarzem Henrykiem II zawartym, przyłączył do Polski. Związek Łużyc z Polską nie trwał długo. Dzielny a nieszczęśliwy Mieszko II stracił je na zawsze już w r. 1032. I znowu Niemcy zawładnęli Łużyczanami. Z tą chwilą rozpoczyna się powolna, później coraz systematyczniejsza germanizacja Łużyc. Szła ona najpierw górami czeskimi dla bogactwa ich kopalin, znacznie później przerwała kontakt łużycko-polski. Niewiele powstrzymała ją przynależność Łużyc do Korony czeskiej (1319—1635), nie przeciwdziałała jej też reformacja, która, jak wszędzie, tak i tu dla propagandy zwróciła uwagę na język ludowy. Z tego czasu datują się początki piśmiennictwa łużyckiego, ograniczające się wyłącznie do tłumaczeń ksiąg treści religijnej. Kiedy zanikł związek etnograficzny między Łużyczanami a Polakami, nie wiadomo dokładnie; gdzieś w 2 połowie w. XVIII dopiero. Skutkiem tego powstał między obu narodami pas niemiecki, rozszerzający się bez przerwy aż po lata ostatnie. Łużyce stały się w ten sposób wyspą podmywaną ze wszystkich stron przez niemczyznę. Proces ustawicznego kurczenia się terytorium łużyckiego w ciągu w. XIX i XX możemy doskonale obserwować. Dość spojrzeć na mapy etnograficzne Jana Ernesta Smolerja z r. 1843, Ernesta Muki z r. 1886, Adolfa Czernego z r. 1911, by zobaczyć, jak na pograniczu łużycko-niemieckim żywioł niemiecki wchłaniał w siebie łużycką ludność.

AŻ CAŁKIEM W NIEMCY SIĘ OBRÓCĄ

W gnębieniu Łużyczan każdy środek uważali Niemcy za dobry i godziwy. Wyjęto ich po prostu z pod prawa, uczyniono z nich niewolników, którym nawet przed sądem nie wolno było szukać sprawiedliwości. Prześladowano ich na każdym kroku. Zabierano ziemię, obciążano nadmiernymi podatkami i przymusowymi robotami, nie pozwalano uczyć się rzemiosł ani osiedlać w miastach. Kiedy już zniszczono ich materialnie, poczęto tępić język łużycki. Walkę z nim ilustrują drakońskie rozporządzenia językowe różnych władców niemieckich. Wydaje się je jeszcze w w. XVIII. Najbardziej znane są rozkazy Fryderyka Wilhelma I z lat 1714, 1731 i 1735, wyganiające mowę łużycką z kościołów i szkół, zabraniające dawać śluby Łużyczanom, o ile nie mówią dobrze po niemiecku. Jeżeli zwracano się do nich w ich własnym języku, to tylko po to, by im podać duchem pruskim zatrutą strawę. W takich warunkach musiała zamierać już nie tylko narodowość, ale i poczucie narodowe łużyckie. Nie dość silnie przeciwdziałały temu związki młodzieży łużyckiej, studiującej w Pradze, Lipsku czy Wittenberdze, a to z tego względu, że miały charakter wyłącznie religijny. Zasługą ich jednak wielką jest opracowywanie łużyckich książek do nabożeństwa, czym się bez wątpienia przyczyniały do podtrzymania istnienia łużyckiego ludu. Dopełniały miary upadku liczne wojny, od trzydziestoletniej począwszy, na napoleońskiej kampanii z r. 1815 skończywszy, w dużym stopniu na łużyckiej ziemi się rozgrywające. Niszczyły one bowiem kraj, ubożyły ludność, zaszczepiały w sercach beznadziejność i apatię. W takich warunkach nawet nieliczni patrioci łużyccy tracili wiarę w przyszłość swojego narodu. Jeden z nich, Jan Hórczański, w wydanej w r. 1782 broszurce pt.: „Gedancken eines Ober-Lausitzer Wenden über das Schicksal seiner Nation" powiada wprost, że niedługo czekać, a „mała reszta Łużyczan zwolna całkiem w Niemca się obróci". Nie zniemczyli się jednak. Przypisać to należy łużyckiemu hartowi ducha, który sprawił, że nie udało się przecież Niemcom wymazać ich spośród narodów żyjących.

PODNIESIONY SZTANDAR

Wolnościowe i narodowościowe prądy, jakie poruszyły Europę w 1 połowie w. XIX, rzuciły także i na tę ziemię parę życiodajnych ziarn. Podjął je 14-letni uczeń budziszyńskiego gimnazjum. Jan Ernest Smoler (1816—1884), który już w szkole zaczął się przygotowywać do roli, którą później odegrał — budziciela i przywódcy narodowego. Zebrał kilku kolegów koło siebie i zapalił dla sprawy narodowej. Wyrośli z nich następnie dzielni pracownicy na ojczystej niwie. W pracy budzicielskiej, tak wcześnie podjętej, nie ustał Smoler po ostatnią chwilę życia. Wpływem osobistym zachęcał współcześników do zajęcia się ludem, który wszechstronnie poznał w czasie długich po kraju rodzinnym wędrówek. Rezultatem tych wycieczek między innymi jest wspaniały, dwutomowy zbiór pieśni ludowych (1841 do 1843). I oto jak pod tknięciem różdżki czarodziejskiej poczynają się pojawiać czasopisma i książki łużyckie już nie tylko religijnej treści. Naród łużycki podnosi się z długotrwałego snu, mającego pozory śmierci. Koroną poczynań Smoleria było założenie w Budziszynie w r. 1847 „Macierzy Łużyckiej" **(Maćica Serbska)**. Nowe towarzystwo postawiło sobie za cel „starać się wedle sił swoich o podniesienie łużyckiego ludu za pomocą wydawania dobrych popularnych i naukowych książek, jako też naukowego czasopisma". Czasopismem tym jest znany w całej Słowiańszczyźnie **„Czasopis Maćicy Serbskeje"**, który od r. 1848 rok rocznie bez przerwy do niedawna wychodził. Trzeba przyznać, że Macierz Łużycka aż do chwili zamknięcia jej przez władze hitlerowskie znakomicie wypełniała swoje zadania. Koło niej się skupiała cała praca narodowa, w której dzielnie jej pomagały liczne towarzystwa oświatowe, gospodarcze, religijne itp. Tym się długie lata utrzymywały Łużyce.

Klęska Niemiec w r. 1918 rozbudziła tutaj żywe dążności niepodległościowe. W listopadzie tego roku powołali patrioci łużyccy do życia „Łużycki Komitet Narodowy" **(Serbski Narodny Wubjerk)** jako naczelną instytucję narodową. Wszczęta przez nią akcja doznała entuzjastycznego poparcia całego narodu. Zmierzała ona do uzyskania niepodległego państwa od Chociebuża po Budziszyn. W tym też celu wysłano dwu delegatów na konferencję pokojową w Wersalu. Pomimo poparcia ówczesnego czeskosłowackiego ministra spraw zagranicznych dra E. Benesza, nic jednak nie uzyskali. **Pokój wersalski nie przyniósł Łużyczanom żadnych ulg** w ich ciężkiej doli: nie dał im własnego państwa, nie połączył rozdartych między Saksonią i Prusy Łużyc w autonomiczną jednostkę administracyjną w obrębie Rzeszy Niemieckiej, co więcej, traktat pokojowy nie wspomniał o nich ani słowem, zdał ich z powrotem na łaskę i niełaskę Niemiec. Wiadomo przecie, że każdy ruch niepodległościowy przyczynia się wydatnie do wzrostu świadomości narodowej, budzi wiele w śnie pogrążonych jednostek do pracy nad własnym społeczeństwem, zachęca lud cały do walki, choćby beznadziejnej, jakby się zdawać mogło na pierwszy rzut oka.

Podobnie stało się na Łużycach. Na każdym kroku zaznaczył się tu obecnie wydatny postęp w każdej dziedzinie narodowego życia. Dopiero teraz powstał pierwszy dziennik łużycki, dopiero teraz założono pierwszy bank łużycki, dopiero teraz zorganizował się „Sokół" w łużyckim kraju. Pieczę nad życiem organizacyjnym i jego kierownictwo objął specjalnie w tym celu teraz stworzony związek stowarzyszeń łużyckich, t. zw. **Domowina** w Budziszynie. Równocześnie dał się zauważyć wszechstronny wzrost działalności kulturalnej na każdym polu, zwłaszcza zaś pocieszający rozwój piśmiennictwa narodowego.

DO WERSALU ZBRODNIE OD WERSALU ZBRODNIE

Pomimo wszystkie przeszkody nie ustawali Łużyczanie w walce o lepszą przyszłość, o możność pielęgnowania rodzimej kultury. Trudności napotykali nie mało. Artykuł 113 konstytucji niemieckiej powiadał wyraźnie, że władze nie powinny przeszkadzać mniejszościom narodowym w używaniu własnego języka w szkole i w urzędzie, jednak nikt tego przepisu właściwie nie przestrzegał. W Saksonii przynajmniej tolerowało się zrazu w szkołach powszechnych łużyckich naukę języka ojczystego w wymiarze 3 godz. tygodniowo. W Prusiech i tego nawet nie uzyskali Łużyczanie. Uczyło się tu po dawnemu tylko po niemiecku i po dawnemu biło się łużyckie dzieci za posługi-

Perspektywa Odry

Poznański proces przeciwko Greiserowi jest jednym z aktów sprawiedliwości także wobec naszych Ziem Odzyskanych. Polityka antypolska Gauleitera z Poznania była wynikiem długowiekowej antypolskiej akcji Niemców. Swe pierwsze sukcesy i swe pierwsze porażki odnosiła ona na dawnych polskich przedpolach, na terenie obecnych naszych Ziem Odzyskanych. Sukcesy osiągane były przy zastosowaniu najradykalniejszych środków walki narodowościowej, nieraz jednak i to nie pomagało — wówczas następowały porażki które przywracały polskości nie tylko już utracone dusze ale i ziemię.

Dziś możemy stwierdzić, że ostatni etap niemieckiej walki z polskością, w którym program antypolski Greisera odgrywał rolę doniosłą, przyniósł Niemcom porażkę na wszystkich frontach. Wytępienie setek tysięcy Polaków przeszło tym razem, jako oczywista zbrodnia dokonana na ludzkości, do historii powszechnej. Greiser zapisał się w niej jako jeden z twórców i wykonawców planu zbiorowej zbrodni.

Wszystko wokoło Greisera jest konkretne, niczego nie trzeba tłumaczyć w skali metafizycznej czy też psychologicznej. Greiser usiłował wprowadzić zamieszanie do świata dokonanych przezeń konkretnych zbrodni — stwierdzając, że posiada dwie dusze i broniąc się przesłankami psychologicznymi. My ze zbrodniarzami nie będziemy mówili o psychologii. Żadne zawiłe dyskusje już więcej nie obniżą ogromu zbrodni niemieckiej. Prawo nasze jest jasne jak słońce jak prawo wszystkich miłujących pokój i sprawiedliwość narodów. Prawo nasze umie konkretnie nazwać zbrodnie Greisera i wymierzyć za nie konkretną sprawiedliwą karę.

Proces Greisera jest momentem zwrotnym w historii stosunków polsko-niemieckich również i dla tego, że po raz pierwszy na teren zaciętej walki wkracza nasze prawo, zwycięskie prawo polskie, któremu ustąpił miejsca miecz. Wojna zawsze znajdowała swój wydźwięk w dziedzinie dociekań metafizycznych i irracjonalnych. Lubowali się w tym zwłaszcza Niemcy, czyniąc to i w ciągu ostatniej wojny — bo w ten sposób podnosili zbrodnię wojenną do znaczenia boskich prawie nakazów. Teraz prawo wprowadzi właściwe proporcje dla pojęcia wojny, zbrodni i kary. Prawo, nie znoszące metafizyki.

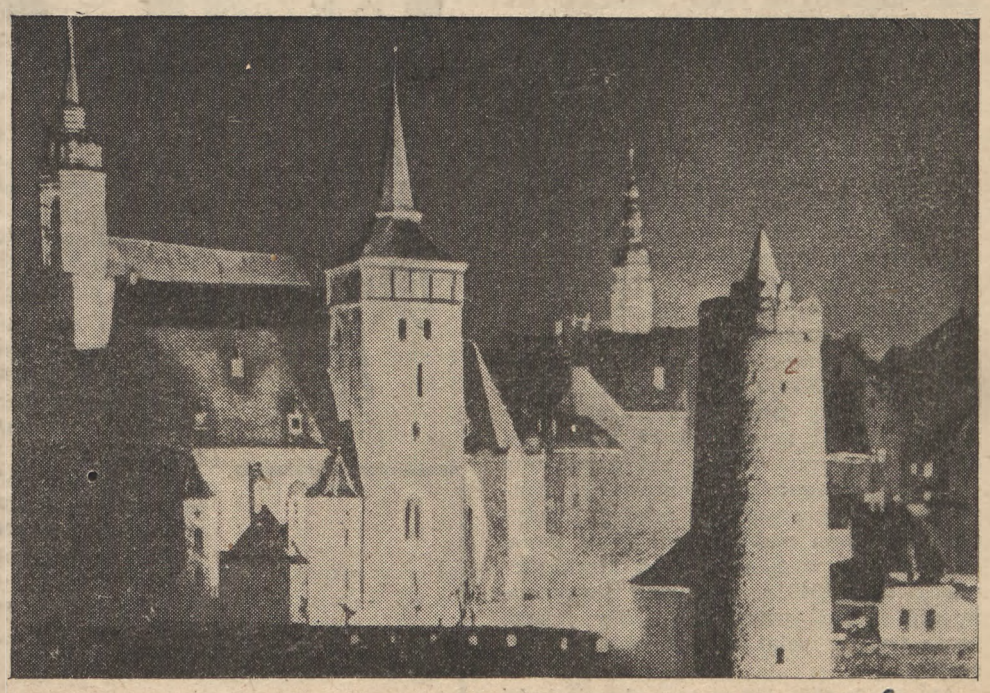

Fragment stolicy Łużyc — Budziszyna.

wanie się mową, którą słyszały w domu rodzicielskim. W celu przyspieszenia germanizacji coraz częściej wysyłano nauczycieli łużyckich w czysto niemieckie okolice, ich zaś miejsce na Łużycach oddawano Niemcom z dalekich stron, którzy ani słowa nie rozumieli po łużycku. Ale nie tylko szkoła była narzędziem wynaradawiania, nie tylko urzędy. Szły im na pomoc także czynniki kościelne, w pierwszym rzędzie ewangielickie. Z zasady nie obsadzało się już zborów w łużyckich wsiach łużyckimi pastorami. Nie lepiej zaczęło się dziać w katolickiej części kraju, gdzie niemieckie władze duchowne wszystkimi siłami starały się również pozbawić Łużyczan łużyckiego słowa w kościele. Ze wszystkich stron, wszelkimi sposobami dążyli nadal Niemcy do całkowitego zniemczenia najmniejszego szczepu słowiańskiego. Z każdym więc rokiem potęgował się niemiecki nacisk. „Demokratyczne" Niemcy, jak Niemcy monarchistyczne, okazały się mistrzem w ciemiężeniu tego nieszczęśliwego narodu.

Prawdziwy „furor teutonicus" rozpętał się nad Łużycami z chwilą dojścia do władzy Hitlera i partii narodowo-socjalistycznej. Zaczęły się prześladowania w wymiarach dotąd w dziejach łużyckich niespotykanych. Wszystkie stowarzyszenia łużyckie z Macierzą Łużycką na czele zostały rozwiązane, całe ich mienie skonfiskowane i zniszczone. Zbiory biblioteczne i muzealne przeważnie spalono. W wielu miejscowościach nakazano wszystkim Łużyczanom oddać książki łużyckie do niemieckich bibliotek, gdzie je następnie do pieców i na śmietnik rzucono. Łużyckich działaczy ze wszystkich warstw społecznych zamknięto w więzieniach lub w obozach koncentracyjnych. Zabraniano nawet mówić po łużycku. Każdy przejaw łużyckiego życia tępiono niemiłosiernie. Grobowa cisza zapanowała na Łużycach. Zdawało się, że anioł śmierci rozpostarł nad nimi swe czarne skrzydła.

KIEDY WOLNOŚĆ?

Zahartowani od stuleci w walce z nie przebierającym w środkach wrogiem nie ulegli i tym razem Łużyczanie. Ci, którym się udało pozostać na wolności, zorganizowali życie konspiracyjne, podtrzymując w narodzie ducha oporu i wiarę w zwycięstwo demokracji. Doczekali się wreszcie rozbicia Niemiec. Niestety ta chwila upragniona nie przyniosła im jeszcze wolności, jakkolwiek usilnie o nią u możnych tego świata zabiega wznowiony Łużycki Komitet Narodowy w Budziszynie. W staraniach swoich zwrócił się z prośbą o poparcie przede wszystkim do narodów słowiańskich, w pierwszym rzędzie do ZSRR, Czechosłowacji i Polski. Uczyńmy, co w naszej mocy, by się jak najrychlej urzeczywistniły niepodległościowe dążenia Łużyczan. Ich realizacji domaga się nie tylko idea solidarności słowiańskiej, jest to także rzeczą międzynarodowej sprawiedliwości. Nie można, nie wolno do tego dopuścić, by nadal w niemieckiej niewoli zostali Łużyczanie, by z powrotem niemiecka pięść nad nimi zapanowała. Równało by się to wyrokowi śmierci. Odmówienie im pomocy, czy niedość rychłe i skuteczne jej udzielenie byłoby zbrodnią, co więcej hańbą, która by na zawsze obciążyła nasze pokolenie.

Jan Reychman

Słowacy a »Trzecia« Republika

Stosunek Słowaków do odbudowanej obecnie Czechosłowacji, ich rola w odnowionym państwie, to zagadnienie niezmiernie ciekawe, urywkowo dotąd nam tylko znane, a tym niemniej doniosłe dla zobrazowania tych przekształceń, jakim uległy stosunki w wyzwolonej spod niemieckiego jarzma Europie Środkowej.

Nie trzeba sobie wyobrażać, żeby po sromotnej likwidacji smutnej pamięci reżimu Tiso et consortes, wrócił do znaczenia stary „garnitur" działaczy słowackich, opartych o ideę „czechosłowakizmu", a usuniętych na bok podczas rządów kliki Tiso—Tuka—Mach. Na Słowację nie wrócili starzy ludzie, nie wróciły też dawne stosunki sprzed 1938 r., wytworzył się nowy świat nowych pojęć i idei. Trzeba przede wszystkim zdać sobie sprawę z jednego. Jeżeli reżim Tisy uzyskał po r. 1939 tak duże poparcie dla swych koncepcyj, jeśli idea samodzielnej Słowacji była popularna w szerokich masach, czemu dziś największy przeciwnik słowackiego faszyzmu nie zaprzeczy, to przede wszystkim dlatego, że dawne rządy popełniły w stosunku do Słowacji cały szereg błędów, które srogo mściły się w latach 1938 — 1939 i spowodowały pozorne rozejście się losów Czechów i Słowaków w latach 1938 — 1944.

Ale emigracja czeska, która na Zachodzie Europy, po rozpoczęciu nowej wojny światowej podjęła sztandar walki o wyzwolenie, tego nie rozumiała. Składała się ona właśnie z tych żywiołów, które w stosunku do Słowaków okazały się zawsze najbardziej nieustępliwe, miała żal do Słowaków za ich „zdradę" z marca 1939 r., a jeśli współdziałała ze Słowakami, to tylko z tymi właśnie, którzy stali na gruncie „czechosłowakizmu". Deklarcja Rady Narodwej Czechosłowackiej wydana w Londynie 30-go czerwca 1943 r. wyraźnie mówiła o oparciu przyszłej Czechosłowacji na **„jednolitym narodzie czechosłowackim"**. W Londynie znalazły się żywioły i czeskie i słowackie, które były w opozycji do idei narodu czechosłowackiego, ale były to koła, które negowały w ogóle koncepcje powrotu do przedmonachijskiej Republiki, stały w ostrej opozycji do prezydenta Benesza i jego otoczenia, a przyszłe stosunki w Europie Środkowej pragnęły widzieć w formie jakiejś luźnej federacji Czechów ze Słowakami, ewentualnie i z Polakami i innymi narodami Europy Środkowej (Prchala, Pridavok itp.). Tak więc siłą opozycji tak w stosunku do argumentów antyczeskich, szerzonych na Słowacji przez Macha czy Durczańskiego, jak w stosunku do rodzimej, antybeneszowskiej opozycji spod znaku Pridavka nabierały mocy argumenty „czechosłowakizmu". Kryło to za sobą duże niebezpieczeństwo, gdyż oddalało masy słowackie, nawet antyniemieckó usposobione, od Londynu, dawało zaś argumenty w rękę propagandzie „słowackiego państwa". Nic dziwnego, że między Londynem a ruchem podziemnym, który zaczął się rozwijać w Słowacji od klęsk niemieckich w 1943 r., panowały nieporozumienia, które potęgowane były jeszcze przez trudną wciąż w tym okresie łączność.

Ale nie brakło już w tym okresie ludzi wśród emigracji czesko-słowackiej — i to nie ludzi z prawicy czy też środkowo-europejskich federalistów, ale ludzi ze sfer rządowych — którzy rozumieli błędy popełniane przez pierwszą republikę i odbudowane państwo oprzeć pragnęli na nowych założeniach. Już podczas dyskutowania deklaracji z 30-go czerwca 1943 roku obecny minister spraw wewnętrznych, a wówczas członek Rady Państwowej Nosek zastrzegł się, że **„nie ma żadnego suwerennego narodu czeskosłowackiego, jest tylko suwerenna republika, której podstawą są Czesi i Słowacy"**, i że walka prowadzona przez rząd londyński ma być walką z tymi, którzy wykorzystują zagranicą imię słowackie dla zdradliwych celów rozbijania jedności republiki, **„ale nie może być walką przeciw tym, którzy całe swe życie poświęcili idei jedności Czechosłowacji, ale uważają się za członków narodu słowackiego"**. Ale przede wszystkim nowe te idee wyznawała grupa emigracji czesko-słowackiej skupiona w Moskwie dookoła pisma „Czeskoslovenske Listy" z Gottwaldem i Kopeckym na czele.

Organy ruchu podziemnego na Słowacji, przede wszystkim utworzona potajemnie Słowacka Rada Narodowa w rokowaniach z rządem londyńskim coraz wyraźniej podkreślały potrzebę jasnego sformułowania stanowiska Londynu w sprawach odręczności narodu słowackiego. Ale rokowania te postępowały pomału, aż pod koniec sierpnia 1944 r. wybuchło słynne, a u nas tak dotąd mało znane (mieliśmy wszak uwagę w tym czasie innym powstaniem zaprzątniętą) **bańsko-bystrzyckie powstanie**. Wybuch powstania dał w Europie podłoże do całego szeregu fantastycznych pogłosek. Jedni traktowali je jako powstanie czysto słowackie, wbrew Czechom i poza nimi, inni (na przykład pewne pismo angielskie) określali je jako **„powstanie czeskich patriotów przeciw słowackim quislingom"**. Rzeczywiście na początku panował pewien chaos ideowy. Pod jakim hasłem walczy powstanie? Dlaczego raz są barwy słowackie, a raz znów czesko-słowackie? Żeby to wszystko wyjaśnić delegacja Rady Narodowej Słowackiej, która po wybuchu powstania ujawniła się i funkcjonowała jako najwyższy zwierzchni organ w Bańskiej Bystrzycy, udała się jesienią 1944 r. z wyzwolonych przez powstanie terenów do Londynu, gdzie nastąpiło uzgodnienie stanowisk. Po powrocie delegacja mogła oświadczyć, że doszło do zgodności zupełnej poglądów; ze swej strony powstanie, acz przekształcone później skutkiem opanowania przez Niemców Bańskiej Bystrzycy i dolin na walkę partyzancką w górach górnego Hronu czy Wagu, podkreślało swą solidarność z ideą jednolitej republiki czeskosłowackiej, będąc wkładem samodzielnego narodu słowackiego do zbrojnej walki o wolność.

Ułożone w Londynie podstawy stosunku Słowaków do nowej republiki przybrały na aktualności, gdy wiosną 1945 r. Armia Czerwona przystąpiła do wyzwalania coraz to nowych obszarów wschodniej Słowacji. Przed przybyciem na tereny wyzwolone prezydent Benesz udał się do Moskwy, gdzie nastąpiło szczegółowe omówienie tych spraw z grupą tamtejszej emigracji, Gottwaldem, Kopeckym itd. Po dłuższych naradach, w których sporo trzeba było wysiłku, aby pokonać istniejące wzajemne uprzedzenia i nieufności, doszło wreszcie do sformułowania zasadniczego porozumienia, opartego na uznaniu odrębności narodu słowackiego, którego przedstawicielką mocy rządowej jest słowacka Rada Narodowa, porozumienia, które ogłoszone zostało w fundamentalnej deklaracji wydanej przez uformowany już na wyzwolonym terenie nowy rząd Czechosłowacji w Koszycach 5-go kwietnia 1945 r.

Atoli pierwszy rok realizowania deklaracji koszyckiej natrafił na moc trudności. Gorycze, wzajemne żale, uprzedzenia nie dały się tak prędko rozwiać. Przy pewnym ogólnym chaosie administracyjnym wynikającym z powojennych stosunków nie określone prawo — państwowe stanowisko Słowacji komplikowało jeszcze te stosunki. Nie było w Koszycach wyraźnie sformułowane, jakie sprawy należą do kompetencji Tymczasowego Zgromadzenia Narodowego w Pradze, a jakie do Rady Narodowej Słowackiej, co podlega Radzie Ministrów w Pradze, a co słowackiemu zgromadzeniu „mężów zaufania". Ze strony czeskiej czynione były wyrzuty, że Słowacja jest w uprzywilejowanym położeniu, gdyż sprawy słowackie podlegają tylko Słowackiej Radzie Narodowej, podczas gdy w dyskusji nad sprawami czeskimi biorą w Zgromadzeniu Narodowym nie tylko posłowie czescy udział, ale i słowaccy. Skarżyli się też Czesi, że o ile na Słowacji są tylko dwie partie, to jest komunistyczna, obejmująca i socjalistów, oraz demokratyczna, obejmująca te żywioły mieszczańskie, które wzięły udział w powstaniu słowackim, o tyle w Czechach są cztery partie, co wywołuje wrażenie, że pewne stronnictwa nie są na Słowacji dopuszczone. Tak samo narzekali Czesi na uprzywilejowanie Słowacji pod względem przydziału papieru gazetowego, na niechęć Słowaków w stosunku do braci z za Morawy.

Cały stosunek Słowacji do republiki pozbawiony był jakiegoś określonego charakteru. Zastrzegano się, że to nie jest samorząd, nie jest autonomia, nie jest dualizm, nie jest federacja, więc co? Ze strony słowackiej formułowano charakter państwa jako wspólnego państwa Czechów i Słowaków, ale takie sformułowanie niczego nie wyrażało, podkreślano braterski charakter Czechów i Słowaków, ale równocześnie ostro zastrzegano się przeciw powtórzeniu błędów dawnej republiki, padały ostre określenia przeciw „czechosłowakizmowi", przypominające polemiki dawnych hlinkowców z „Nastupu". Z drugiej znów strony, czeskiej, wciąż — szczególnie z kół narodowo-socjalistycznych, reprezentujących i w stosunku do sprawy polskiej na Zaolziu najwięcej „intransigeance" (Uhlirz) wciąż powtarzano od czasu do czasu zastrzeżenia w stosunku do nowego stanu rzeczy na Słowacji, wytworzonego przez powstanie słowackie i deklarację koszycką, po cichu domagano się restytucji ad integrum stosunków sprzed 6. października 1938, rozszerzenia działalności czeskich stronnictw na Słowacji, przebąkiwano o zdradzie słowackiej z 1939.

Wreszcie po roku, dzięki usilnej pracy szeregu czynników, doszło na początku kwietnia do nowego, prawnego sformułowania charakteru Słowacji wewnątrz republiki, które stanowi uzupełnienie i rozwinięcie programu koszyckiego. Nowe porozumienie wyraźnie określa wspólne zakresy spraw, wyznacza granice po-

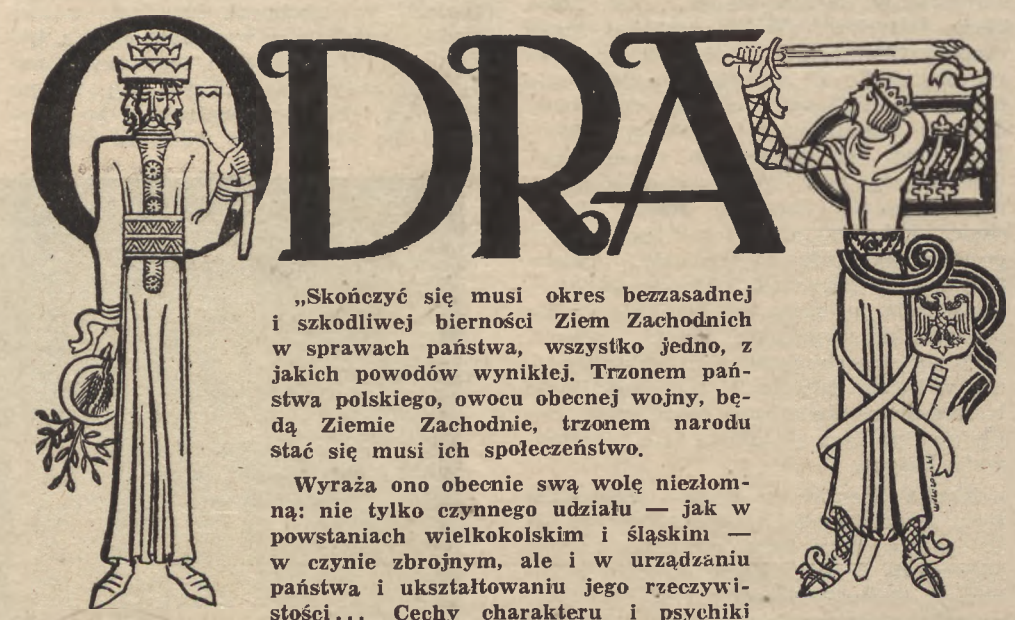

„Skończyć się musi okres bezzasadnej i szkodliwej bierności Ziem Zachodnich w sprawach państwa, wszystko jedno, z jakich powodów wynikłej. Trzonem państwa polskiego, owocu obecnej wojny, będą Ziemie Zachodnie, trzonem narodu stać się musi ich społeczeństwo.

Wyraża ono obecnie swą wolę niezłomną: nie tylko czynnego udziału — jak w powstaniach wielkokolskim i śląskim — w czynie zbrojnym, ale i w urządzaniu państwa i ukształtowaniu jego rzeczywistości... Cechy charakteru i psychiki społeczeństwa tych ziem, wypróbowane na przestrzeni stuleci, w twórczym wysiłku odbudowy i przebudowy staną się kamieniem węgielnym, na którym oprzemy gmach Polski — państwa bałtyckiego i zachodniego w swych granicach i istocie."

(Informacje z Ziem Zachodnich Rzeczypospolitej — BE-ZET, Numer Śląski 6 czerwiec 1942, druk podziemny).

szczególnych kompetencyj i zakres władzy prezydenta Republiki w stosunku do Słowacji, przeprowadza rozgraniczenia zasięgu działania Słowackiej Rady Narodowej i „zgromdzenia powierników". Dla prawników pozostawione będzie obecnie określenie i sformułowanie, czym jest obecnie Słowacja w ramach republiki, jak jej charakter prawny określić? Do czego w historii prawa państwowego stosunek ten można przyrównać? Do Królestwa Polskiego w ramach Rosji 1815 — 1918? Obecne koła rządzące na Słowacji, wywodzące się z ruchu podziemnego z czasów okupacji niemieckiej unikają świadomie nawiązywania do koncepcyj autonomistyczno - federacyjnych, reprezentowanych przez „autonomistów" słowackich sprzed 1938, a potem przez federalistów z „Klubu Środkowo-Europejskiego" z Londynu, nie wspominają nic o „umowie Pittsburskiej" z 1918 r., gdyż hasła te zostały potem zdyskredytowane przez **„reakcyjny i faszystowski charakter reżimu ks. Tisy"**, ale tym niemniej nie można się oprzeć wrażeniu, że jednak ewolucja poszła w kierunku zakreślonym przez umowę Pittsburską, a realizowanym następnie, acz w innym niż obecnie „klimacie" kulturalnym i ideowo - politycznym, przez Hlinkę.

Mniej więcej w tym samym czasie nastąpiło i wyjaśnienie stosunków partyjno-politycznych, które tyle krwi napsuły prasie czeskiej w ciągu ubiegłego roku. Obok istniejących dwóch partyj wyodrębniła się trzecia: Słowackie Stronnictwo Pracy, reprezentujące część żywiołów dawnej socjaldemokracji słowackiej, z byłym ministrem Dererem jako honorowym prezesem. Acz nie używające nazwy socjaldemokratycznej, stronnictwo to uważa się za „siostrzaną partię" czeskiej socjaldemokracji. Z kolei zakrzątnięto się koło zorganizowania stronnictwa katolickiego, które by grupowało te żywioły katolickie, które szły może czasem na pasku tisowskiego faszyzmu, ale których uczciwości i chęci brania udziału w odnowionej republice, nie można kwestionować. Fakt faktem, że nawet z kół najbardziej antyfaszystowskich podkreślano, że wielu ludzi oddawało na „ludaków" (tisowców) swe głosy w myśli, że tym sposobem walczy tylko o prawa narodu słowackiego. Charakterystycznym, że równocześnie z tym „wyścigiem o głosy byłych hlinkowców" gazety słowackie ogłosiły (14. kwietnia 1946) fragmenty z raportów posła angielskiego w Pradze Nestona z 1939, ogłoszonych obecnie na procesie norymberskim, z których wynika, jak bardzo Sidor sprzeciwiał się oddzieleniu Słowacji od Czech w 1939 r. Równocześnie („Svobodne Noviny" z 11. kwietnia) nie brak było i pogłosek, że **„Sidor zachowuje w swym watykańskim wygnaniu znaczną rezerwę i bynajmniej nie chce się eksponować przeciw Czechosłowacji".**

Nowe stronnictwo miało nosić nazwę „Stronnictwa chrześcijańsko-rolniczego" a koło jej zorganizowania krzątał się głównie dawny działacz filii stronnictwa czeskich katolików na Słowacji kanonik Cvinczek oraz obecny minister finansów, ongiś pierwszy minister pełnomocny dla Słowacji w 1919 r. Szrobar. Ale w międzyczasie ks. Cvinczek uzyskał od stronnictwa demokratycznego zapewnienie paru wybitniejszych katolików (na Słowacji podział wyznaniowy odgrywa wciąż dużą rolę, ewangelicy usunięci od wpływów za reżimu Tiso i biorący udział w powstaniu bańsko-bystrzyckim uzyskali znów przemożny wpływ w odbudowanej machinie państwowej, usuwając nieco w cień katolików „skompromitowanych" popieraniem reżimu ks. Tiso) do wyłącznie przez ewangelików obsadzonego prezydium stronnictwa demokratycznego, ale tym nie zażegnał rozłamu, gdyż

i tak grupa działaczy ze Szrobarem na czele wystąpiła ze stronnictwa, zakładając Słowacką Partię Wolności, która obok działaczy katolickich grupuje i ewangelików. Nie wyjaśniło to jeszcze w zupełności stosunków, gdyż Stronnictwo Demokratyczne grupuje w dalszym ciągu w swym łonie żywioły najbardziej heterogeniczne, od radykalnej inteligencji, poprzez resztki słowackich zwolenników dawnej partii agrarnej Hodży czy narodowo-socjalistycznej Hruszovskiego, aż po ewangelików z dawnego, tradycyjnego stronnictwa- „narodniarów" Razusa i katolików ongiś grupujących się u Miczury czy u Hlinki. Tym niemniej tak ewolucja prawnego charakteru Słowacji jak i rozwój jej wewnętrznych stosunków politycznych nosi w sobie charakter pewnych przeobrażeń, bynajmniej nie obojętnych dla rozwoju stosunków na tym odcinku Europy Środkowej.

Belina

Za lasem płynie Osta

Sandbostel nie jest obozem oficerskim, tylko „Stalagiem" i do tego jednym z podlejszych. Wprawdzie dowództwo niemieckie zobowiązało się honorować prawa oficerów Powstania, ale i na to znalazł się sposób: po prostu oddzielono część obozu drutem kolczastym — wewnątrz niego

ulokowano polski „Oflag", reszta pozostała „Stalagiem".

Jesteśmy więc jakby w podwójnym potrzasku — od południa, północy i zachodu. Tylko od strony wschodniej przebiegają druty zewnętrzne, nad którymi, w równych odstępach, wyrastają rusztowania wież obserwacyjnych.

Zaraz za drutem biegnie polna droga, dalej olbrzymie bagniska i las... A za lasem płynie Osta.

Poprzez kłębowisko mgieł i grubą ścianą deszczu staram się odgadnąć w którym miejscu trzęsawisko nadbrzeżne przecina rzeka. Ma z pewnością ciemną, błotnistą wodę, o nieruchomej prawie powierzchni. A dalej na wschód znów mokradła, bagna nieprzebyte, rojsty — aż po Wielką Puszczę.

Cały teren obozu — to jedno wielkie bajoro. Brnę ku drutom powyżej kostek w błocie. Skóra na butach oddawna nabrała wszelkich cech gąbki — jest doskonałym przewodnikiem wody. Ale i do tego można przyzwyczaić się.

Osta działa na mnie jak magnes. Nic dziwnego! Przez pięć lat konspiracji w dalekiej Warszawie często powracałem myślą do tej rzeczki. Jej kręty bieg wyznaczał granicę obszaru, na którym prowadzona była pewna Samotna Gra, która mnie bardzo pasjonowała.

Swoją drogą te bagniska nadosteńskie musiały dobrze spełniać swoją rolę bariery granicznej. Przez wiele wieków, a może nawet tysiącleci, powstrzymywały one germańskie parcie na wschód. Do tej rzeki sięgały osiedla etnicznych Germanów za Tacyta i nie przesunęły się ani na krok dalej aż do czasów Karola Wielkiego. Wierna rzeka uparcie nie chciała wpuścić przybłędów do ziemi słewskiej. Topiła ich w niezliczonych trzęsawiskach,t zatruwała malarią, odstraszała fosforyzującymi mamidłami oparów błotnych.

Była przez długie wieki wschodnią granicą Germanów, więc nazwali ją — Oste.

Kraj zaczynający się za nią, zajmuje dziś kluczową pozycję w ciele Rzeszy. Mimo, że jest nieurodzajny, nie umiastowiony, pozbawiony przemysłu i, naogół, słabo zaludniony. Rozciąga się w kształcie wąskiego równoległoboku z północnego zachodu, gdzie dotyka morza Północnego — na południowy-wschód aż po środkową Łabę, Bodę i Aller. Odcina głowę Rzeszy — północne Niemcy — od jej tułowia. Właściwie stanowi podstawę czaszki — najniebezpieczniejszy punkt w każdym żywym organiźmie. Jeżeli w tym właśnie miejscu zaszczepi się Niemcom zagadnienie mniejszościowe, to będzie to dla imperializmu germańskiego cios straszny— może nawet śmiertelny.

Ten kraj zachował ludność starą, autochtoniczną, „czerwono-obotrycką". Zachował wbrew wszelkiej logice. Podbity za czasów Karola Wielkiego, przez zgórą 11 wieków był w granicach Rzeszy. Gdy historyczna „złota" Obotrycja od dawna już mówiła po niemiecku — tu rozbrzmiewała jeszcze mowa obotrycka — „polabische Sprache".

Ale zasięg jej kurczył się z każdym rokiem. Aż wreszcie ostała się jedynie na północno - wschodnich kresach kraju — nad rzeką Jasną — w tak zwanym „Wenlandzie", stanowiącym zaledwie dziesiątą część dawnego obszaru.

Tu stary Obotryta — Jan Parum Schulze — pisał, ku pamięci wnuków, swe słynne rozmówki obotrycko - niemieckie. Kilku ludzi dobrej woli katalogowało słowa umierającego języka, zapisywało pieśni i legendy. Powstało w ten sposób sześć słowników obotrycko-niemieckich, o rozmaitej wartości naukowej. Był to XVIII wiek — oficjalnie uznany przez naukę niemiecką za okres całkowitego wymarcia języka „połabskiego" czyli obotryckiego.

Ale w sto górą lat potem ujawnia się dziwna rzecz: język, uznany oficjalnie za martwy, żyje nadal, ukryty głęboko pod powierzchnią oficjalnej niemczyzny. Żyje w ramach rodziny, uniedostępniony dla obcego ucha, zakonspirowany.

Jakby na jakiś cichy rozkaz, podczas spisu ludności w 1905 (czy szóstym) roku ponad 20% mieszkańców podało język „połabski" jako swój „Muttersprache".

Prasa niemiecka oszalała. I ciekawe komentarze podawała, bardzo ciekawe: Otóż język połabski, według niej, już oddawna zaginął, żyje natomiast w Połabianach świadomość odrębności i wyrazem tej właśnie świadomości miało być demonstracyjne przyznawanie się do umarłego języka.

Słowem, negując odrębność językową „Połabian", sami Niemcy przyznawali im odrębność wyższego rzędu — narodową.

A mimo wszystko z tym językiem — rzekomo umarłym — nie jest chyba aż tak źle. Nawet niemieccy etnografowie przyznają, że dotychczas w „Wendlandzie" zebrania gminne są zwoływane przy pomocy formuły, wypowiadanej w jakimś niezrozumiałym języku.

Stara to musi być formuła. Sięga z pewnością czasów Karola Wielkiego, a może nawet i Tacyta. Zwoływano nią wiece wolnego narodu Słewów — wielkiego narodu, który zamieszkiwał ziemie od Wezery aż poza Wisłę i od lasu Turyńskiego po Bałtyk, a stolicę w I wieku po Chrystusie, miał na wschodzie Czerwonej Obotrycji, prawdopodobnie w Magdeburgu, który się wówczas nazywał Dziewinem.

Tacyt nazywa Czerwonych Obotrytów Zemnonami (po obotrycku zemnia — ziemia) i mówi, że byli najznaczniejszym ludem w całym narodzie słewskim. W stolicy ich znajdowała się świątynia, która była ośrodkiem kultu wszystkich Słowian. Wiemy, że w 800 lat później, po podbiciu tych ziem, przeniesie się ona do ratarskiej Radogoszczy, a po spaleniu stolicy Wilków w 1069 roku na rugijską Arkonę.

Ale, wracając do języka, mam poważne powody do wierzenia w istnienie rękopisów połabskich, zupełnie świeżej daty, bo pisanych w XX wieku. Z całą pewnością autor nie był jedynym żyjącym znawcą języka. No bo dla kogoś musiał pisać.

„Ciche rozkazy", o których mówiłem powyżej, nie były również przenośnią. Każda demonstracja musi mieć jakieś realne podłoże i ośrodek dyspozycyjny. Nie było w dziejach precedensu, by kilkadziesiąt tysięcy ludzi, bez żadnych widomych powodów i bez rozkazu, przyznało się nagle do nieistniejącego języka. Pod nieruchomą powierzchnią życia „wendlandzkiego" kłębiły się siły, które znajdą swój wyraz dopiero w 1943 roku, w pamiętnych słowach Manifestu Obotryckiego.

Ale procesy narodotwórcze zaczęły się objawiać tu dużo wcześniej. Jeszcze w przeddzień wybuchu wielkiej wojny pewien niemiecki sławista (prof. Knesebeck z Rugii) nawiązał korespondencję ze starostą jednego z powiatów „wendlandzkich". Z listu tego starosty wynikało, że po roku 1905, na terenach tych zaczął się zupełnie wyraźny proces wyodrębniania nowej mniejszości narodowej — obotryckiej. „W moim powiecie n. p., jest z górą 20 000 Obotrytów, których zresztą łatwo poznać po ostrzejszych rysach twarzy i po swoistej wymowie słów niemieckich" — pisał.

* * *

Resztkowe terytorium Czerwonych Obotrytów, nazywane przez samych Niemców „Wendlandem" czyli „Krajem Słowiańskim", leży po lewej stronie Łaby, na wprost ziem meklemburskich. Obszar całego kraiku wynosi około 2000 km². Osią jego jest dopływ Łaby — rzeka Jasna, nad którą rozłożyła się maleńka stolica Swaidełogord (Dannenberg). Ten wendlandzki odpowiednik Budziszyna nie był nigdy jednak siedzibą jakiejkolwiek jawnej instytucji narodowej. Czerwonoobotrycki ruch odrodzeńczy był z góry skazany na wejście w podziemie.

„Narodem w konspiracji" nazwano Polaków. Czerwoni Obotryci są nim dosłownie. Gdyby nie zbiorowe „demonstracje" w rodzaju tej z 1905 roku, gdyby nie tajna prasa i masowe aresztowania „sabotażystów" w łuchowskim i swaidełogordzkim — nikt by w istnienie tego narodu nie uwierzył. Nie krzyczy on o swym trwaniu słowami ojczystej mowy, nie wyładowuje tęsknot w pieśni. Milczy! Aż zbierająca się przez tysiąclecie nienawiść znajdzie wyraz we wściekłych antyniemieckich filipikach „Wendischer Bote".

Miałem w rękach dwa numery tego pisma. Była w nich obłędna wprost pasja nienawiści do wszystkiego co niemieckie, nawet do języka, którym autorzy musieli posługiwać się — nie znając innego. Odnosiło się wrażenie, że to jakiś nawrócony hitlerowiec cały bagaż nienawiści, którą w niego wpajano, obrócił przeciwko swym patronom, plując im w twarz epitetami „psów wściekłych" i „czarciego gnoju".

„Nie na tobie, żołnierzu pruski i żołnierzu z Hanoweru mścić się będziemy. Ty, którego wszy gryzą, który strudzoną głowę kładziesz na kamieniu przydrożnym, jesteś takim samym słowianinem jak ja — tylko jeszcze nie przejrzałeś. A kiedy przejrzysz, pluć będziesz na niemiecki „Vaterland", tak jak my plujemy."

„Plujemy w twarz wszystkim bohaterom niemieckim — od Karola Wielkiego do Hitlera, złodziejom, którzy ukradli naszą ziemię i domy i mowę i wiarę. Mordowali naszych przodków i gwałcili ich kobiety, zniszczyli nasze świątynie i zniszczyli nasze dusze. Rzeka „Jesne", nad którą wielu z nas urodziło się, znaczy po słowiańsku „Jasność". Bo myśmy byli jasnością, którą zniszczyła nienawiść. A teraz my jesteśmy Nienawiścią. I będziemy się mścili na Niemcach, tak jak oni nas tego nauczyli."

„Wy, psy trędowate, z NSDAP, z Gestapo, SS i SA, wkrótce już poznacie słowiańską zemstę. Od Wisły i Wełtawy, Newy, Wołgi i Amuru idą na was miliony słowiańskich mścicieli. Komory gazowe są dziecinną igraszką wobec mąk, które my wam zadamy. Wy, mordercy polskich dzieci i bezbronnych żydów!"

Jest to mała próbka, zaczerpnięta z pamięci, z tego oceanu nienawiści, jaki przelewał się po przez karty „Wendischer Bote". Jedynie majestatyczne słowa Manifestu Obotryckiego brzmią zupełnie inaczej:

„Złoto-czerwony jest sztandar obotrycki — złoty piasek wybrzeża obficie zroszony krwią słowiańską. Złota Obotrycja — na prawym brzegu Łaby, to ta kraina,

która żyła przez całe średniowiecze w cieniu Korony i Berła naszych władców — królów obotryckich. Czerwona Obotrycja — to nasz nieszczęśliwy kraj, który, na przestrzeni jedynastu stuleci zlewany był obficie krwią słowiańskich niewolników."

Nie pamiętam niestety całego Manifestu. Utkwiło mi jednak w pamięci jego zakończenie:

„Niemcy nie są waszą ojczyzną. Wasza zachodnio-słowiańska Ojczyzna Obotrycka dopiero budzi się z wielowiekowego snu, by, na ruinach Rzeszy, tworzyć nowe, naprawdę szczęśliwe życie. I nie będzie przez Nią zapomniane ani jedno dziecko tej ziemi."

Obszerny komentarz historyczny wyjaśnia, że pierwotne terytorium Czerwonych Obotrytów, nazywanych przez Tacyta Zemnonami a w średniowieczu Drawenami i Glinianami, mieściło się w granicach wyznaczonych przez rzeki: Osta, Łaba (od ujścia do 52 st. szerokości), Boda i Aller, na obszarze około 20 000 km kw. W granicach jego mieści się prawie cała prowincja hanowerska (ze stolicą w Luneburgu), i znaczna część prowincji magdeburskiej.

Obszar ten — za wyjątkiem części wschodniej i południowo - wschodniej (wchodzących już w skład prowincji magdeburskiej) był gospodarczo mało atrakcyjny. Do dziś na zachodzie przeważają bagna i inne nieużytki, w środku wrzosowiska i lasy (Lueneburger Heide). W rezultacie kolonizacji niemieckiej na terytorium należącym do Hanoweru, a stanowiącym ¾ ziem czerwonoobotryckich nie było prawie wcale. Był wyzysk gospodarczy i bezwzględna germanizacja, ale wieś pozostała niemal w 100% etnicznie słowiańska.

W miastach jest pewien procent przybyszów, ale biedota, jak zawsze, w przeważającej części miejscowa. Dwory są obce, ale to nie jest istotne, kadry urzędnicze, dygnitarze partyjni przeważnie również importowani. Opór masy, w części hanowerskiej, mały — bo zaludnienie na ogół słabe.

Część magdeburska, stanowiąca ¼ całości, jest znacznie gęściej zaludniona i posiada bardzo dużo elementu przed wiekami importowanego z głębi Niemiec. Przecie północna część tego obszaru to słynna Stara Marchia — południowa zaś należała do arcybiskupstwa magdeburskiego, tego forpocztu wojującej niemczyzny. Autorzy liczą na czynną pomoc okupacyjnych wojsk polskich i radzieckich w procesie reslawizacji tych ziem.

Zagadnieniem Czerwonej Obotrycji poświęcone jest 9/10 każdego numeru. Odnosi się wrażenie, że reslawizację innych terenów traktują autorzy jedynie marginesowo. Złotej Obotrycji wyznaczają wprawdzie bardzo szerokie granice: od linii Husum — Eckernfoerde na półwyspie jutlandzkim, dokąd sięgały podobno osiedla Wagrów, aż po wododział Warnawy i Reknicy. Ale brak tym pobożnym życzeniom szerszej podbudówki. Niewiadomo np. jak autorzy zamierzają rozwiązać sprawę olbrzymiego Hamburga, nie mówiąc już o Berlinie, który, wraz z całym dorzeczem Haweli, nie znalazł miejsca w koncepcji „Wendischer Bote".

Ruch czerwonoobotrycki nie jest panobotryckim, mimo, że autorzy starają się takie cechy mu nadać. Nie jest tym bardziej panwendyjskim, jeżeli nazwą Wendów obejmiemy wszystkich Słowian północno-zachodnich — łącznie z Łużyczanami. Ale posiada on nie mniej wagę żywiołowego ruchu lokalnego. Nie dając wprawdzie Słowiańszczyźnie upragnionego przedarcia się — w sensie etnicznym, nie militarnym — do Oceanu, próbuje stworzyć słowiańską enklawę nadoceaniczną, która rozsadzałaby równocześnie, jak klinem, terytorium północno-niemieckie.

Jeżeli nawet przyjmiemy, że Czerwoni Obotryci nie posiadają jeszcze szans na stworzenie własnej państwowości — to sam fakt zaistnienia nowej dynamicznej mniejszości w tym miejscu Niemiec, należy uznać za zjawisko ogromnej wagi.

Niemcy potraktowali dywersję „Wendischer Bote" bardzo poważnie. Prowincjonalna prasa hitlerowska parokrotnie wspominała o tej „Jaczejce bolszewicko-angielskiej", oczywiście z odpowiednimi komentarzami. Były nawet jakieś karykatury.

Po masowych aresztowaniach w Wendlandzie — przy końcu 1943 roku, pismo — zdaje się — przestało wychodzić.

Docierało ono, rzecz prosta nietylko do redakcji hitlerowskich czasopism, lecz i tam, dokąd było przeznaczone — do mas zniemczonej ludności tubylczej, przestraszonej wizją bliskiego załamania się Rzeszy. Hasło „Weg vom Reich — zurueck zum Slaventum!" umieszczony na każdym numerze „Wendischer Bote", nabierało coraz groźniejszej wymowy, w miarę jak Wojsko Polskie i Armia Czerwona zbliżały się ku granicom Rzeszy.

*

Wpatrzony w mglistą pustkę, staram się odgadnąć w którym miejscu płynie rzeka — ta rzeka, którą tragicznie samotni opętańcy chcieli uczynić zachodnią granicą Słowiańszczyzny.

Ciemno jest.

Zobaczymy granicę słowiańską, gdy słońce wzejdzie.

Gustaw Morcinek

Nardelli z Varennes

(Dokończenie)

Aż pewnego dnia, gdy wróciłem z pracy, podszedł do mnie pisarz blokowy i zapytał:

— Jesteś w inwalidach?

— Nie.

— No, to podziękuj Bogu!... Dzisiaj w nocy odchodzi pierwszy transport! Ale, sza!... Ja tobie niczego nie mówiłem!... Rozumiesz?

Rozumiałem. Zdradził mi tajemnicę, której mu nie wolno było ujawniać. Pomyślałem o Nardellim i owionęło mnie przerażenie. Nardelli też pójdzie z takim transportem!...

— Czy oni idą na śmierć? — zapytałem go jeszcze szeptem.

Pisarz spojrzał na mnie szarymi, zimnymi oczami.

— Blöder Hund! — warknął z gniewem. — Ja tobie o niczym nie mówiłem!...

Po godzinie dziewiątej pokładliśmy się do snu, jak zwykle. Czekałem, co teraz nastąpi. Koło godziny dziesiątej wpadł znienacka do sypialni pisarz obozowy z kartką, przekręcił kontakt przy drzwiach, stanął na środku pod lampą.

— Uwaga! — zawołał. — Ci, których teraz wywołam, natychmiast wstać, ubierać się, pakować manatki, ustawić się na korytarzu. Jadą do sanatorium. Potem będą zwolnieni. Uwaga! Ascher, Arnold, Ackermann, Arciszewski, Bączek, Bednarczyk, Buczyński... No, wołać „hier!"...

— Hier! Hier!... — wyrywały się z barłogów senne głosy.

Patrzyłem zdumiony na tamto makabryczne widowisko. Dla mnie bowiem już nie ulegało wątpliwości, że wywołani jadą po śmierć. Nie wiedziałem jednak, jaka to śmierć będzie. Podnieceni ubierali się gorączkowo, bełkotali coś, śpieszyli, zbierali swoje drobiazgi, potem żegnali się z sąsiadami, a ich ściszony głos był nabrzmiały radością. Oto gotowi tańczyć, krzyczeć w uniesieniu, całować wszystkich, zataczać się jak pijani. Na wolność jadą!... Na wolność!...

Do mojego łóżka podbiegł Buczyński. Był tak przeraźliwie chudy, że jego twarz przypominała maskę kościotrupa. Kości policzkowe wystawały ponad miarę, a skóra na nich była naciągnięta i sina. Oczy jego płonęły, usta zaś miał wąskie i jakieś zwierzęce. Jak u głodnego psa. Zwykł nazywać każdego „śmrodem" i „gnojem". Kłócił się o byle głupstwo, unosił szybko i wtedy ciskał tak wstrętnymi wyzwiskami, zły, zapluty, brudny i owrzodziały, że już nie budził współczucia, lecz wstręt fizyczny.

— Kolego! Jadę na wolność — szeptał do mnie rozgorączkowany. — Daj mi kolega kilka papierosów na drogę!...

Podzieliłem się resztą. Niech ma na tę ostatnią drogę!

— Serdeczne Bóg zapłać, serdecznie dziękuję — skamlał po żebraczemu. — A może kolega da mi adres swoich, to do nich napiszę, pojadę, powiem...

— Nie, nie!... Nie trzeba pisać...

— No, to nic!... Do widzenia kolego!... I dziękuję za papierosy!... Bo ja na wolność jadę!... — i głos jego załamał się tutaj ze wzruszenia, przeszedł w jakiś ptasi pisk. Koledzy na sąsiednich łóżkach gruchnęli śmiechem. Buczyński nawymyślał im od „gnojów" i „śmrodów", ja zaś odwróciłem się do ściany, bo nie chciałem patrzeć na jego radość. Wyobrażałem sobie to jego straszne rozczarowanie, może jeszcze dzisiaj, może jutro, pojutrze!...

Nazajutrz wcześnie rano, jeszcze było ciemno, poszedłem do Nardellego. Już stał pod swoim blokiem, skulony, kryjąc się za drzwiami przed wichrem. Śnieg prał ostrymi szpilkami w przymrużone oczy.

— Nardelli! — zawołałem w tłum.

— Jestem!... Już wiesz?... Dzisiaj w nocy pojechał pierwszy transport! Na literę „A" i „B"!...

— A więc już wiesz o tym? U was też wybierali w nocy?

— Też! W całym obozie, na każdym bloku!... Koło setki ich było!... Ja też pojadę niezadługo!... Słyszysz!... Moja Elzinka...

Uciekłem od niego.

W ciągu pracy jeszcze raz usiłowałem go nakłonić, by kazał wykreślić się z listy. Mam bowiem przyjaciela, który jest pisarzem na bloku szesnastym. On to potrafi jeszcze uczynić bez zwrócenia uwagi w kancelarii. Nardelli patrzył na mnie w zdumieniu. Potem żachnął się mocno i wyśmiał się ze mnie.

— Głupiś pieronie, ale głupi!... mruczał, stukając się palcem w czoło. — Ty mi zazdrościsz! Ty ze zawiści odradzasz mi...

— Dziadzie sakramencki, przecież ty na śmierć pojedziesz! — krzyknąłem, nie mogąc dłużej wytrzymać.

Nardelli spojrzał na mnie, jak na wariata. Potem stuknął się jeszcze kilka razy palcem w czoło i zaczął się serdecznie śmiać. A kiedy się uciszył, znowu spojrzał na mnie i znowu się postukał w czoło. W naszym obozowym rytuale znaczyło to tyle, że jestem zupełnym wariatem, że mam dużego, oskubanego ptaka w głowie. Powiedział mi to szczerze.

— Pieronie głupi, dyć ty masz oskubanego strusia w głowie!...

— Ty masz, dziadzie zatracony, ropuchę w głowie! Na śmierć pojedziesz! — krzyczałem już z pasją. — Wierz mi, że na śmierć pojedziesz!...

Nardelli może dojrzał w mym krzyku swoją śmierć. Oczy jego sposępniały, usta skrzywiły się w bolesny grymas.

Marian Niewiarowski

Głos z kraju milczenia

„...Nie uciekniesz, nie ukryjesz się, nie zapomnisz." — mówi w jednym z opowiadań*) ksiądz, rysując w słowach prostych a przejmujących koszmar niemieckiego obozu koncentracyjnego — i na jego tle — świetlaną postać księdza, ojca Czesława.

Nie uciekniesz, nie ukryjesz się, nie zapomnisz...

Być może, że książka ta narobi tyle wrzawy, spowoduje tyle dysput, ile wywołało ukazanie się „Nocy" Andrzejewskiego. Ale jeżeli różnorodność, ilość i prawie granicząca ze śmiesznością krańcowość oceny „Nocy" przez krytyków da się wytłumaczyć popularnością autora „Ładu serca" sprzed wojny i większą lub mniejszą sympatią do ewolucji ideowej, którą przebył Andrzejewski czasu wojny — i to miarą, którą trzeba będzie naszym krytykom posługiwać się wobec Żukrowskiego będzie swobodny obiektywizm, pozbawiony osobistych animozji, wynikłych na tle ideologicznych różnic i płynących stąd idiosynkracji. Choć podobieństwo tematów i czasu, a niekiedy i kompozycji jest uderzające — wrażenie zasadniczej różnicy nie opuszcza nas ani na chwilę podczas czytania. Jest to różnica w końcowym afekcie, w zamykającym uczuciu po przeczytaniu całości. U Andrzejewskiego — niepokój i niedosyt — tu mamy jasność i zrozumienie.

Niektóre z opowiadań („Lotna", „Przebieg", „Pod śniegiem") były drukowane uprzednio w czasopismach i ukazane oddzielnie, świadczyły o mocnej klasie pisarskiej i zwiastowały ukazanie się mocnej indywidualności autorskiej. Dopiero zebrane w jedną chronologcznie uporządkowaną całość, opowiadania te, dające świadectwo szczerości autora w stosunku do opisywanej minionej rzeczywistości wojennej i bez prymitywnych chwytów łatwego autentyzmu, malujące przeżycia, bóle i rozterki ludzi prawdziwych, ludzi wierzących głęboko — stanowią pozycję w naszej literaturze powojennej pierwszej wagi i najlepszej jakości.

Jeżeli „Przed sądem" Andrzejewskiego wywołało tyle sporów i powiedzmy to szczerze — nie doprowadziło do końca podjętej z godną pochwały odwagą sprawy sumienia i zdeprecjonowania normalnie uznawanych norm etyki w chwili zbliżającej się nieuchronnie śmierci — to Żukrowski, w opowiadaniu „Pozdrowienie anielskie" zamyka psychologicznie w pełni uzasadnioną analizę czynu, bohaterskiego w swojej wymowie, spokojnego w zdecydowanej skromności, wewnętrznej wiary i pewności prawdy obranej drogi. Dziedzic Sierakowski świadomie poświęca się i idzie na śmierć: „Uśmiech dziedzica pogodny spokojem już tamtej strony — mówi: nie bój się. Bardziej potrzebują pocieszenia i odwagi ci, którzy pozostają przy życiu, niż tamci w dole..." W momencie, gdy Sierakowski decyduje się na śmierć na miejsce skazanego Antoniego — Antoni powinien oponować, powinien nie dopuścić do poświęcenia osoby, która ma szanse pozostania przy życiu, chociaż mu tego życia nie wiele zostało. Ale Antoni, zaciskając pięści w niemej rozpaczy, pozostaje w szeregu. Nie wychodzi i nie protestuje. Rzecz dzieje się szybko, ale Antoni ma czas do namysłu. Nie namyśla się. Zostaje.

Postawa Żukrowskiego wobec świata jest — jak już powiedziałem — szczera, a wobec konfliktów wewnętrznych człowieka — głęboko katolicka. Ale nie tą płytkością ujmowania zjawisk i czynów z ciasnego punktu widzenia wiary w cuda i nadprzyrodzone moce lub jednostronnego tłumaczenia wszystkich i wszystkiego fatalizmem grzechu i łatwizną ekspiacji. Bohaterowie Żukrowskiego — to ludzie, którzy czując i przeżywając silniej i głębiej niż inni — wierzą głębiej i silniej w Boga; czują Go rzeczywiście w sobie i dlatego ich katolicyzm jest tak humanistyczny, niemal Mauriac'owski. Bo cóż n. p. robi ks. Paweł w opowiadaniu „Przed furtką"? — W momencie, gdy pozycja zagubionego w odmęcie wojny oddziału zależy tylko od sprzyjających warunków terenowych i większych lub mniejszych możliwości ukrycia się — ks. Paweł wychodzi z kryjówki, dekonspiruje oddział i wybiega naprzeciw Niemcowi, by go uprzedzić o grożącym mu niebezpieczeństwie... Gdy słyszymy rozkaz — „Ognia!" — ze spokojem i zimnym wyrachowaniem wydany przez podchorążaka, czujemy zbliżającą się nieuchronnie katastrofę. Ksiądz ginie wraz z Niemcem, zastrzelony przez Polaka. „Nigdy nie czułem doskonalszego żalu, jak przed sługą Bożym, który wyrzekał się nawet własnej śmierci

*) Wojciech Żukrowski „Z kraju milczenia", opowiadain. „Czytelnik".

— Powiadasz, durniu, że na śmierć? — zapytał, a w głosie jego wyczułem niepokój.

— Zaręczam ci!... Przecież nie będziesz taki naiwny, by wierzyć w tamte bajdy, iż was wysyłają do sanatorium!... Człowiecze, gdzie masz rozum?... Bo człowieka cholera bierze, mając z takim idiotą do czynienia!...

— Was ist los? — zaskrzeczał za nami „kapo".

Widać, stał już dłużej za ławą i przysłuchiwał się naszej rozmowie. Ponieważ jednak rozmawialiśmy po polsku, nie wiedział, o co nam chodzi. Zaintrygowany moim wzburzeniem, postanowił dowiedzieć się wszystkiego. Wszak jemu należało się to z urzędu — jak mniemał —, a może przy tej sposobności potrafi znowu wykazać nam swoją przewagę nad nami. Chodziło mu o przewagę moralną. Wiedział bowiem, że go mamy nie w nienawiści, lecz w pogardzie i za to mścił się na nas. Nie mścił się na tych, którzy go nienawidzili. Rozumiał bowiem, że tylko ludzie, słabsi moralnie od niego, potrafią żywić do niego nienawiść. W stosunku do Nardellego i do mnie było odwrotnie. On nas nienawidził, bo myśmy nim gardzili. Ponieważ jednak opłacaliśmy się jemu regularnie i hojnie, dawał nam spokój i czekał. Wszak nadejdzie odpowiednia chwila, że weźmie odwet za to upokarzające stanowisko swe wobec nas.

— Nun, was ist los? — zapytał znowu, siląc się na uprzejmość. Jego uśmiech był jakby przylepiony do wąskich ust.

Nardelli był w tak wielkiej rozterce, że dał się omamić jego uśmiechem. Powiedział mu, o czym rozmawialiśmy. „Kapo" słuchał i patrzył na mnie spod przymrużonych powiek. Spojrzenie jego było ciche, przyczajone i złe.

— On jest głupi! — rzekł teraz, wskazując na mnie. — Ty w ogóle możesz haniebnie odwalić za kolportowanie takich plotek. Tylko jedno słowo u szefa, pamiętaj!...

Miał mnie znowu bestia, w garści! — Wszak łatwo mu teraz szantażować mnie przy każdej sposobności. Wyczułem żal do Nardellego.

— A ty nie wierz temu głupiemu psu! — zwrócił się teraz do niego. — Łajdak zazdrości tobie tamtego wyjazdu do sanatorium. Ja ci nawet powiem więcej! Wy tam będziecie przez zimę i przez wiosnę, a w lecie i w jesieni ci zaś, którzy jeszcze będą tak chudzi, że ich nie będzie można wypuścić na wolność, to ci będą zajęci w winnicach. Ci będą obierali winogrona w winnicach!... Pomyśl sobie, winogrona?... Leżysz na plecach w winnicy, już na wpół zwolniony i zrywasz winogrona. A winogrona są czarne i słodkie i duże, jak cycy prawiczki!... — Tu uśmiechnął się obleśnie i mlasnął językiem. Był mi w tej chwili tak bezgranicznie wstrętny, że byłbym z ulgą — jak mi się zdawało — patrzył na jego śmierć u moich stóp.

— Rozumiałeś? — zwrócił się znowu do Nardellego.

Nardelli skinął głową i znowu się zasępił. Obierał już teraz kartofle w milczeniu. Gdy w południe wracaliśmy do baraku na obiad, zapytałem go, czy wierzy w tamto winobranie. Nie odpowiedział.

— Rób jak chcesz — rzekłem przeto. — Po obiedzie idę do swego przyjaciela, do Waltera na szesnastym bloku i powiem jemu o tobie. On jest pisarzem, jak ci już mówiłem. I on jeszcze może coś tu uczynić. A ty także idź do niego i powiedz mu żeby cię wykreślił z listy. No, pójdziesz?

Nardelli stanął pod topolą, wydobył fotografię Elzinki zza podszewki i przez chwilę patrzył na nią w milczeniu. Potem westchnął ciężko, ucałował ją, jak zwykle, schował i rzekł twardo:

— Nie! Nie idę!...

— A to mnie całuj, pieronie, w piętę! — rzuciłem mu ze złością i poszedłem.

Przyjaźni nie zerwaliśmy. Trwała nadal między nami, lecz była chłodna i nieśmiała. Rozmawialiśmy tylko tyle, ile tego wymagała nasza praca w kartoflarni. Lecz nie było już między nami tej serdecznej i szorstkiej poufałości, co ongiś. A tymczasem transporty inwalidzkie odchodziły. Co kilka dni, po apelu, biegali pisarze blokowi po barakach i wywoływali spisanych. Wciąż według alfabetu. A więc już poszli wszyscy z litery „C" i „D", potem przez kilka dni szły litery „E, F, I, J, K", aż w końcu, kiedy poszedł transport z litery „L", wiedziałem już wszystko.

Staliśmy na ulicy obozowej i patrzyliśmy na przechodzących „inwalidów". A oni szli rozradowani, jakby pijani szczęściem, pokrzykujący, żegnający nas dłońmi, wołaniem, dowcipami... Utkwił mi jeden szczegół w pamięci. Oto w pierwszej piątce idzie jakiś żyd o kuli. Uśmiecha się blado, chudy, skurczony, lecz o twarzy ekstatycznej. Obok niego kroczy drugi żyd i trzyma wysoko nad głową sztuczną nogę swego towarzysza. Proteza jest szara, powykręcana, ze sterczącymi z niej jakimiś sztabkami i zawiasami. Potrząsa nią, jak batutą przed maszerującą orkiestrą, błaznuje i woła do nas roześmianym bełkotem. A za nim już wlokli się towarzysze podobni do Łazarzów, co z grobów powstali. Mróz był silny, a oni szli przebrani w cienkie pasiate drelichy, dygocący z zimna, sini, z kapkami u nosów, lecz rozradowani. Co raz jeden i drugi z nich dostrzegł w tłumie znajomego. Wtedy żegnał się z nim na odległość, przyrzekał odwiedzić jego matkę, czy żonę, obiecywał napisać duży list z wolności, tłum zaś zazdrościł i pocieszał się głośno, że przecież każdy z nich również kiedyś uzyska wolność.

— Spotkamy się kiedyś tam i tam!... — wołano z tłumu do skazańców. — Wtedy se popijemy, jak cholera!...

— Dobra jest! Popijemy se festelnie!... — odkrzykiwał biedak z przechodzących

Niektórzy w pochodzie byli tak słabi i tak bardzo chorzy, że koledzy nieśli ich na noszach. A z każdych noszy, spod kocy wynurzały się chude, woskowe dłonie i żegnały nas patrzących.

Z boku pod topolą stał Nardelli. I on patrzył na pochód straceńców i coś mruczał. Podszedłem do niego z tyłu. Nie zauważył mnie. I wtedy posłyszałem, że powtarza, jak pacierz, tamte słowa jednakowe, niezmienione, przesycone jego sercem:

— Moja Elzinka... Moja Elzinka...

Zawróciłem. Już teraz byłem bowiem bezsilny. Przyjaciel Walter mógł jeszcze coś uczynić z chwilą odejścia pierwszego transportu. Teraz już nie mógł. Listę zabrano do komendantury i nikt z więźniów nie miał już do niej dostępu. A równocześnie zdołał dowiedzieć się poufnie, jaki los pisany inwalidom. Stało się to za papierosy, za pieniądze i za szczodrze rozdawane przysięgi. Pieniędzmi przekupywano tych „esmannów", którzy towarzyszyli transportem, papierosami zaś i przysięgami tych nielicznyhc więźniów, którzy ciesząc się zaufaniem władz obozu, byli dopuszczani do tajemnicy. Pracowali bowiem w głównej kancelarii, posiadali papiery skazanych, a więc musieli wiedzieć, co się z nimi dzieje. Należeli do arystokracji obozowej, otrzymywali lepsze żarcie, mieszkali osobno, wygodniej, aniżeli reszta więźniów, lecz nie wolno im było pisnąć słowa o tym, co widzieli, co czytali w papierach lub co słyszeli. W przeciwnym razie groziła im karna kompania, w której każdy z więźniów kończył swój męczeński żywot w ciągu dwóch tygodni. Bywał powolnie dobijany przez „esmannów" i przez „kapo"

Walter dowiedział się więc, że każdy transport, złożony z około setk i ludzi, udaje się wieczorem do łaźni. Tam bywa przebierany w najgorszą bieliznę i w najgorsze łachy drelichowe. Zabiera się każdemu czapkę, rękawice i buty. Zamiast butów otrzymują drewniane chodaki. Koło godziny drugiej w nocy wyprowadzają ich „esmanni" przez bramę obozową. W bramie muszą oddawać wszystko, co posiadają przy sobie. A więc papierosy, pieniądze, cygarniczki, chusteczki, listy... Przed bramą stoją już duże ciężarówki nakryte brezentami. Kolbami wpędzają ich na ciężarówki, utłaczają, chorych rzucają na kupę, potem jeszcze wyłażą na brzeg ciężarówki „esmanni" z karabinami i wtedy ruszają w kierunku Alp. W tym okresie srożyły się mrozy. Ludzie ci byli prawie że nie ubrani. Zanim więc mogli dojechać na miejsce, duża część musiała po drodze zmarznąć.

Od kilku przekupionych wartowników dowiedziano się, że transporty te jadą w kierunku Salzburga, dokąd jednak docierają, nie wiedzieli. W połowie drogi bywali bowiem luzowani, transport obejmowała nowa załoga wartowników, a tamci wracali do obozu. Naciskani przez naszych w obozie i kuszeni przez większą ilość pieniędzy, zdradzali, że ludzie ci kierowani są w okolice Salzburga, gdzie na wsi, w jakiejś szkole, znajduje się specjalne laboratorium, w którym uczeni czynią doświadczenia z nowymi gazami trującymi. Gdzie to jednak jest, jak nazywa się ta miejscowość, tego już nikt nie wiedział. Tyle tylko wiedzieli od swych kolegów z drugiego etapu, że skazańcy bezpośrednio po przyjeździe do owej miejscowości, a co dzieje się jeszcze przed świtem, pędzeni są nago do specjalnych komór gazowych. Ponieważ komory nie pomieszczą odrazu całej setki, więc idą do nich partiami, czekając swej kolejki nago na mrozie.

Poza tym Walter zdołał jeszcze dowiedzieć się, szafując niezliczoną ilością przysiąg i słów honoru, że w głównej kancelarii obozowej znajdują się już przygotowane formularze, wypełnione nazwiskami skazańców. Wysyła się je rodzinom z doniesieniem, że dotyczący więzień, mimo troskliwej opieki lekarskiej, zmarł dnia tego a tego i że komendant obozu wyraża rodzinie swe serdeczne współczucie. Pod tym wszystkim był jeszcze dopisek, że urnę z prochami zmarłego kierownictwo

Jan Baranowicz

Pogranicze

Za dzielnicą will
pachnie stawem,
kiedy odwieczerz z mym psem się wałęsam.
Kumki i wodna rzęsa.
I wiatr, co owsom czesze czupryny [kędzierzawe,
Tutaj się syci
ma chłopska tęsknota,
jakbym dłoniami czerpał
ze źródła.
Tutaj najskryciej,
gdym barwę rynku z siwych oczu otarł,
cyka mi i świerszcz i głos sierpa
i szemrze trawa szkarpy prosta i wychudła.
Tu ciepła mowa przeciwieństw się skupia.
Opar fabryczny i mgła podwieczorna
żenią się z sobą.
Ostatnia lampa przy ulicznym słupie
a kąkol obok.
Na stajach wieś, na ścieżce bezczynność [wytworna.
Pograniczem dwóch światów i ja dzisiaj [sam.
Rozłupały się lata me na dwoje: —
na tu i tam.
Mieszczuch — cknię za wsią, — chłop o [miasto stoję.
Spętało mnie ramię ulic
jak koniczynę ruda gąszcz kanianki,
życiu nie mogłem nie ulec.
— — Jeno szarówką lub rankiem
ze stawu urody nagiej,
z mży rzeźwej, co w jedno zlewa
zręby kamienic i ławy zagonów,
piję napój równowagi.
Dzień mój pokrewny dniom miejskiego [klonu: —
z bruku chłód biorę, w słonku się [ogrzewam — —

Wiersz wyjęty ze zbiorku Jana Baranowicza, który w tych dniach ukaże się na półkach księgarskich w ramach „Arkusza Śląskiego" Zw. Zaw. Lit. Pol. w Katowicach.

---

dla spełnienia swego powołania" — mówi autor, gdy spowiada się przed umierającym księdzem. Nie tłumacząc postępku i nie zajmując się łatwą publicystyką w obronie dogmatów, ale ukazując nam człowieka w chwili czynu i tylko jego czyny — Żukrowski daje nam przykład postawy, którą rozumiemy i którą pojmujemy. Gdy ojciec Czesław („Kantata") stara się nawrócić SS-mana, gdy wybacza obozowemu sypaczowi i tchórzliwemu denuncjantowi profesorowi R. niecny postępek i zamiast uderzyć go — ku zdumieniu wszystkich współwięźniów klęczy i zmusza do tego grzesznika i słabego człowieka, jakim w jego oczach jest zwykły tchórz i nędzna wywłoka — rozumiemy to i pojmujemy szczerość postępku jak i prawdziwość sytuacji.

Za mało się mówi u nas i pisze o postawie średniego kleru katolickiego podczas okupacji, o jego zachowaniu się wobec Niemców, o biernym oporze i czynnej walce, o samopoświęceniu i ofierze. Lukę tę — po raz pierwszy — wypełnia Żukrowski niemal całkowicie i ukazuje nam postacie księży, świetlane postacie, których ład serca, spokój wewnętrzny, głęboka wiara i humanizm katolicki budzi podziw i szacunek.

„Pod śniegiem" znów zapełnia lukę, o której pisał niedawno Ed. Csato w „Kuźnicy". Ukazuje nam fragment z tragicznego życia Żyda, ukrywającego się na fałszywych papierach po stronie „aryjskiej". Mimowoli nasuwa się porównanie do „Wielkiego tygodnia" Andrzejewskiego. Ale Żukrowski opowiada spokojnie o tym, jak było, a nie o tym, jak by mogło być. Doktora Ziemana ratuje polska rodzina, a w momencie krytycznym ściślej — Polak — katolik, dr. Podwiński. Ratuje dlatego, że dr. Zicman jest ochrzczony. „Prócz wspólnej wiary — nienawiść do Niemców wzmacnia jednoczące ich ogniwa. Właśnie na przekór wszystkim stanie przy nim" — myśli żona Podwińskiego. Dr. Zicman w momencie pierwszej rewizji przebywa właśnie w kościele. Gdy za drugim razem zostaje rzeczywiście niemal cudem ocalony, mówi:

„Ja tu stałem, on tu... Wtedy nic, tylko żebrałem... Jezu, ocal mnie... i wtedy poczułem — to jeszcze nie twoja godzina — będziesz ocalony... Odwlekło się tylko ... odwlekło się..."

Ładują walizy, dr. Zicman odjeżdża. To samo robi bohaterka Andrzejewskiego — ucieka w gęsty dym, unoszący się nad walczącym gettem. Obaj autorzy żegnają swoich bohaterów w momencie, kiedy mają najmniej przyczyn, aby ich opuścić, w momencie, gdy chcemy o nich wiedzieć jak najwięcej... Co będzie robić Podwiński, gdy przyjdzie godzina dr. Ziemana???

Nie wątpię ani na chwilę w szczerość dr. Podwińskiego i jego żony. Jemu i podobnym Polakom setki Żydów zawdzięcza życie. Nie wątpię również w szczerość dr. Zicmana. Kto przeżył okupację tak, jak on — zrozumie go i pojmie. Jest to wstrząsające opowiadanie — spokojna i opanowana narracja zwiększa grozę i wzrusza do głębi. Żukrowski jest oszczędny w słowach, ale jakże głęboko ludzki.

Kto chce wsłuchać się w piękno naszego języka, kto chce rozkoszować się wspaniałym rytmem pierwszorzędnej prozy — ten musi przeczytać „Lotną". Żukrowski w tym opowiadaniu pokazał taką klasę narracji i bogactwo języka, połączył tyle umiejętnej obserwacji ludzi i zjawisk, a przede wszystkim przyrody — że czytanie tego opowiadania daje nam prawdziwą ucztę artystyczną. „Przebieg" — to fragment możliwości Żukrowskiego, gdy idzie o opracowanie większej całości w ramach dokładnie zbudowanej kompozycji i konsekwentnie przeprowadzonej akcji. Jest to historia dwóch zbiegów z obozu koncentracyjnego, z których jeden zginie tylko tak, jak można było zginąć podczas okupacji i jak można było zginąć t y l k o podczas okupacji — w chwili — gdy żandarm, trącając go w rękę spytał: „Ausweiss bite?..." Gdy prowadzą zbiega na śmierć, „Janek był pełen gorzkiego milczenia. A samotny, samotny, nie czekał już na nic..."

Język Żukrowskiego jest spokojny i poważny, potoczysty i opanowany. Jest pełny jakiejś wewnętrznej powagi, a jednocześnie lekki i powabny. Jest świeży i mocny — jest kojący. Literaturze polskiej przybyło nowe nazwisko, które nie potrzebując i nie szukając rozgłosu, zajmie w niej trwałe i niepoślednie miejsce.

„Nie uciekniesz, nie ukryjesz się, nie zapomnisz..." Zamykamy „Z kraju milczenia" z uczuciem wewnętrznego spokoju, które daje wiara. Wiara w tych ludzi, którzy w kraju milczenia, w ciemną noc okupacji, w czasach pogardy, w ogniu beznadziejnej walki lub na dnie otaczającego upodlenia — potrafili unieść i nieśli do końca sztandar walki o godność i honor człowieka.

Wiara w braci, siostry i ojców tych ludzi, którzy dziś, dzierżąc dalej wysoko podjęty sztandar, rzeźbią nową rzeczywistość.

Wiara w siłę żywotną naszego narodu.

obozu wyśle po otrzymaniu tej a tej kwoty celem pokrycia kosztów przesyłki.

I kiedy transport setki skazańców wyjeżdżał z obozu w nocy, nazajutrz wysyłano już do ich rodzin zawiadomienia o śmierci.

— Pamiętaj — rzekł mi wtedy jeszcze Walter. — Jeżeli wiadomość ta rozniesie się po obozie, szubienica czeka i tego, co mi to zdradził i mnie!... Bo on chyba zdolny mnie wsypać!...

— Ale mój Nardelli?...

— Nic już dzisiaj nie potrafię zrobić! — Pójdzie, jak inni, na śmierć. Lecz niech przynajmniej do ostatniej chwili wierzy, że wraca na wolność. Zrozumiałeś mnie?

— Zrozumiałem...

Nardelli więc o niczym nie wiedział. Do ostatka wierzył, że jedzie do sanatorium, że go tam odżywią, a jeżeli nie zwolnią po kilku miesiącach, pójdzie zbierać winogrona w winnicach.

— Cholera, ale sobie pojem winogron!... — radował się przede mną. — Wiesz, bo ja zawsze strasznie lubiłem winogrona!... Może mi się uda przynajmniej mały koszyczek zabrać z sobą...

— Dokąd?

— Dokąd? Do domu, dla mojej Elzinki...

Poszedłem w milczeniu. On patrzył za mną i kiwał głową, ja zaś lękałem się, że w końcu przejrzy, że zobaczy w moich oczach tamtą straszną prawdę. A wówczas chyba oszaleje! Wówczas wyczołga się z mroków ów potworek o okrągłych, wyłupiastych oczach i podobny do śliskiego, cuchnącego embrionu ludzkiego zacznie rwać rzadkie, oślinione włosy na dużej czaszce, zacznie krzyczeć, potem wyć, tak okropnie wyć!... A wówczas Nardelli oszaleje!...

Bo Pan Bóg nie usłyszy wycia potworka!...

Nie, Pan Bóg nie usłyszy!...

Jezus, Maryjo, bo sam oszaleję!

Minęło znów kilka dni i kilka nocy. Unikałem Nardellego. Nie miałem już odwagi popatrzeć w jego oczy. Zdawało się, że jestem tutaj wspólnikiem jakiejś niepojętej zbrodni. Że swoim milczeniem zgadzam się na śmierć swego przyjaciela, że pomagam tym, którzy go zamordują. A równocześnie wciąż lękałem się, że nareszcie zobaczy w moich oczach swój wyrok. I co wtedy będzie? Co wtedy?...

Oto Nardelli

„sercu, jak zziajanemu na koźle woźnicy
każe pędzić na oślep — nie żałując koni
i już wie — że się ślady zmyliło pogoni
i już wie, że granica będzie niedaleko...
Lecz Nardelli nie wie, że to
„straszny — nadzieją zdyszany sen,
na który przebudzenie czeka
nienawistne i wrogie, jak karczma
[w Varrenes...

Minęło więc owych kilka ostatnich dni, w których Nardelli patrzył w swoje myśli zgonione i w fotografię swojego dziecka, a dla którego tak bardzo pragnął żyć. Poszedł transport z litery „M", przyszedł w końcu wieczór, w którym miał odejść transport z litery „N".

Wracaliśmy z pracy. Mróz trzymał wciąż, a wicher szalał opętany i wył między barakami. Niebo było ciężkie i ponure. Na jego sinym tle chwiały się czarne sylwetki topól. Przed blokiem Nardellego spotkaliśmy pisarza.

— Kto z was Nardelli? — zapytał.

— Ja, a bo co?

Pisarz zawahał się. Otworzył gruby notes, nachylił się, by wicher nie rwał kartek, by nie wydmuchał z niego świstków.

— Nardelli, dzisiaj o godzinie 8 wieczorem zbiórka przed blokiem. Dzisiaj w nocy jedziecie z transportem...

Nardelli milczał.

— Rozumiecie? — zapytał pisarz.

— A dyć rozumiem!...

— I jeszcze jedno!... Do kogo piszecie listy?

— Do swojej baby!... Gdzieżby pisał indziej, jak nie do baby!

— Jaki jest adres? Bo w aktach nie jest zanotowany!...

— No taki! Anna Nardelli, Frysztat, Wydmuchów... numer ten a ten... Ale czemu się pytasz o adres mojej żony?

Pisarz skrzywił się, chciał coś powiedzieć, lecz polękał się tamtych słów, nacisnął czapkę i pognał do kancelarii obozowej.

I spostrzegłem, że teraz dopiero Nardelli zaniepokoił się, że już przeczuwa śmierć.

— Dlaczego się pytał o adres mojej żony? — zastanawiał się głośno.

Wiedziałem, lecz jak mu to powiedzieć? Bezwiednie towarzyszyłem mu do jego baraku. Dochodziliśmy, gdy z drugiej strony nadbiegł zdyszany pisarz obozowy. Przejęty ważnością swej postaci trącił nas, odepchnął Nardellego od drzwi, wpadł z szumem i hałasem do izby. W izbie nie było jeszcze nikogo, tylko pod piecem siedział szef bloku i szef izby. My zostaliśmy na korytarzu za odchylonymi drzwiami. Wróciliśmy bowiem z pracy wcześniej i nie było nam wolno wchodzić do izby. Powinniśmy czekać na korytarzu, czy w umywalni czy też w ustępie do chwili, gdy będziemy się zbierać na apel wieczorny.

— Gdzież u jasnej cholery jest wasz pisarz obozowy.

— W tej chwili pobiegł do ciebie, do kancelarii obozowej. O cóż chodzi, że tak latasz dzisiaj, jak koty z pęcherzami? — posłyszeliśmy głos szefa bloku.

— Ludzie dzisiaj odchodzą, a tu jeszcze brakuje kilka adresów ich najbliższych!

— A cóż ci po adresach?

— Do pioruna, przecież musi być wszystko w porządku!

— W jakim porządku?

Pisarz obozowy widać zawahał się przez chwilę. Potem rzekł ściszonym już głosem:

— Przecież wiesz, że wraz z transportem wysyłamy uwiadomienia o śmierci...

— O czyjej śmierci? — usłyszeliśmy teraz pytanie izbowego. Głos miał drewniany i suchy.

— Głupi psie, o czyjej śmierci? Nie o twojej, nie o mojej, tylko o śmierci tych, co dzisiaj wyjeżdżają do komory gazowej!...

— Aha!... — usłyszeliśmy pomruk z izby.

Spojrzałem na Nardellego. On spojrzał na mnie. Oparł się powoli o ścianę, oczy jego znienacka zszarzały, zmętniały. Podniósł powoli, bardzo powoli dłoń i trzymał ją długo na oczach. Kiedy je w końcu odsłonił, na rzęsach chybotały dwie łzy. Oczy były wciąż mętne i jakby zapadające się w czarną studnię. Szczęki jego drżały. Widziałem, że mocuje się z tamtym potworkiem, co teraz wstaje, by wyć, by tak strasznie wyć... Jeszcze raz przetarł dłonią oczy, odetchnął głęboko, opuścił głowę. Coś myśli i myśli. Myśli są ciężkie, myśli są tak ogromnie ciężkie i szare i zimne, jak kamienie. Mocuje się z nimi, łamie.

Teraz podnosi powoli głowę i znowu patrzy na mnie.

To już nie jest mój Nardelli, to obcy człowiek, to już człowiek z innego świata. Sięga powoli za podszewkę marynarki, długo szuka z wysiłkiem, znalazł w końcu, wyciąga fotografię Elzinki. Ujmuje ją w obie dłonie, podnosi do oczu. Patrzy i patrzy, a szczęki jego drgają, a oczy jego co raz mocniej mętnieją. Teraz mi podaje fotografię.

— Masz... — szepnął zduszonym głosem — to jest moje Elzinka... Już jej więcej nie zobaczę. Masz, weźmij i oddaj Elzince, jeżeli wrócisz na wolność. Powiedz, że... Powiedz, że o niej myślałem, że ją... Powiedz, że byłem... Powiedz wszystko, co wiesz o mnie... I powiedz, że w tej ostatniej godzinie proszę ją, by nie zapomniała o mnie... żeby była dobrym człowiekiem... Powiedz.

Wziąłem fotografię i schowałem do kieszeni.

— A teraz... już się więcej nie zobaczymy... A teraz, z Bogiem, mój najmilszy kamracie!... Z Bogiem!...

Podał mi rękę, uścisnął słabo, zawrócił i wybiegł w wichurę.

A potem, już była noc, słyszałem jeszcze jego nazwisko, wywoływane w tłumie. Przez wycie wichru doleciało mnie jego mocne, twarde: „Jest!"...

I poszedł na śmierć.

Skończył się straszny, nadzieją zdyszany sen, na który czekało nienawistne i wrogie przebudzenie, jak karczma w Varennes.

Listy z Polskiego Zachodu

Wykopaliska i architektura

Jelenia Góra, w czerwcu.

„Ziemia gromadzi prochy" — taki tytuł dał swojej słynnej już dziś książce Kisielewski. Każdy zabytek, czy to spoczywający w ziemi, czy zachowany nad ziemią, to świadectwo niezbite naszego odwiecznego stanu posiadania w dorzeczu Odry i Łaby, to niejako kamień, rzucony na szaniec walki o zasięg kultury polskiej. Pamiętają o tym nasi archeolodzy, prehistorycy i historycy sztuki, otwierając swymi pracami coraz to nowe perspektywy w głąb naszych dziejów na kresach zachodnich. Ostatnio, w ramach Zjazdu Historyków Sztuki w Jeleniej Górze odbyły się dwa wartościowe odczyty, udawadniające nasze odwieczne prawa do ziem nadodrzańskich.

Profesor Uniwersytetu Poznańskiego Kostrzewski w odczycie pod tyt. „Straż Słowiańska nad Odrą" użył wykopalisk jako dokumentów, obalających niemiecką tezę o rzekomym pragermańskim władaniu tymi ziemiami. Zabytki, które przeleżały kilkanaście wieków pod ziemią, nie kłamią. Unaoczniły one dwa oczywiste fakty. Pierwszy, że t. zw. Ziemie Odzyskane już od końca VI. wieku były zaludnione przez plemiona polskie. Drugi, że nie byli to bynajmniej półdzicy łowcy, rybacy i bartnicy, jak to twierdzą niemcy, ale osiadli rolnicy i hodowcy bydła. 98 % kości zwierzęcych, znajdowanych jako odpadki w osadach wczesnohistorycznych, to kości zwierząt domowych. Masowo znajduje się tam również zwęglone ziarna zbóż, żarna do ich mielenia, a nawet dość często — narzędzia rolnicze, np. radlice, kroje do pługów, sierpy i kosy. Poziom wielu rzemiosł, przede wszystkim budownictwa, garncarstwa i złotnictwa, był bardzo wysoki. Garncarstwo polskie wywierało silny wpływ nie tylko na ceramikę Słowian Zachodnich między Łabą i Odrą, ale i również na Prusów, Litwinów, Jadźwingów, a polskie wyroby ceramiczne docierały drogą handlu aż do Szwecji. Polskie ozdoby srebrne, np. charakterystyczne kabłączki skroniowe, szły na północ, do Danii i Szwecji, a kamienie do żarn, wyrabiane na zboczach Sobótki na Śląsku, docierały aż do Szlezwiku.

Plemiona polskie były mistrzami w budowie grodów, które stawały się centrami osadnictwa, a w chwili niebezpieczeństwa dawały schronienie ludności okolicznej. Wysoko stała żegluga morska, o czym świadczą zarówno znaleziska ludzi, jak wiadomości kronikarskie. Na Pomorzu, zarówno, jak na Śląsku, istniały ju w wieku X. ludne miasta, z ulicami, wyłożonymi drewnem, z piętrowymi domami, ze stałymi targami itp. Kultura prapolska na tych obszarach jest tylko dalszym ciągiem kultury prasłowiańskiej, sięgającej wstecz do 1300 lat przed Chrystusem.

Odczyt ten był właściwie ustnym barwny mkomentarzem do przeźroczy, przedstawiających wykopaliska nadodrzańskie.

Odmienny zgoła charakter posiadał odczyt prof. Zachwatowicza: „O architekturze piastowskiej na Śląsku". Zamiast przeźroczy ujrzeliśmy szereg odręcznych rysunków, szkicowanych kredą na tablicy, wzorem niezapomnianych wykładów takiego mistrza, jak Noakowski.

Prelegent kontynuował dzieje, zilustrowane przez prof. Kostrzewskiego. Podkreślił zjawisko kultury opartej na tradycji, konserwatyzm w formach budownictwa drewnianego, właściwy ludowi rolnicezmu, z dawna tu osiadłemu. Przemiany cywilizacyjne zatarły wiele cech charakterystycznego budownictwa drewnianego. Niekiedy tylko na uboczu zachowały się zabytki budownictwa wiejskiego o typie polskim oraz dość liczna grupa kościółków. Kościół w Oleśnicy jest specjalnym typem kościoła odpustowego, zbudowanego na planie róży. Tworzy on bardzo oryginalną bryłę architektoniczną, będącą dziełem polskiego cieśli Marcina Polaka z poł. XVII. wieku.

Śląsk, to nie tylko teren walki zbrojnej z niemcami, to również teren walki o własne oblicze kulturalne. Kluczowym zagadnieniem ówczesnej kultury była sprawa chrystianizacji tych ziem. Pierwsi piastowie Mieczysław i Bolesław Chrobry dążyli do ominięcia dróg infiltracji wpływów niemieckich. Wersja o pierwszych katedrach, budowanych z drzewa, obalona została przez ostatnie badania. Pierwsze kościoły to były rotundy lub katedry o pełnym programie wielkiego ówczesnego kościoła — bazyliki. Rotundy kościelne spotykamy jeszcze w Cieszynie i Stromie. W początku XII. wieku rozwija się na wielką skalę budownictwo kościelne na Śląsku. Istnieje cała grupa kościołów z fundacji Piotra Własta. Jednym z pierwszych klasztorów śląskich był założony w 1109 r. na Sobótce klasztor kanoników regularnych, sprowadzonych z Belgii. Zachowały się z niego granitowe bloki w formie lwów na cokołach. Jak widać, program architektoniczny był bogaty. Są to bowiem szczątki ozdobnych portali.

Osobną, bardzo bogatą, kartę w dziejach naszego budownictwa sakralnego stanowią klasztory Cystersów w wieku XII. Reguła Cystersów wymagała, żeby w miarę rozrostu zakonu 12 mnichów zakładało nowy klasztor. Widzimy tu rozwój analogiczny z Francją. Począwszy od 1115 roku powstają klasztory w Sulejowie, w Wąchocku, Jędrzejowie, Koprzywnicy. W Lubiążu 1175 r., w Rudzie na Śląsku 1255 r., w Jemielnicy 1290 r. W budowie kościołów i klasztorów Cystersów uwydatnia się pewien schemat, związany z regułą. Poszukiwania architektoniczne Cystersów szły po jednej linii. Interesował ich problemat jednoczesnego odprawiania Mszy Świętej przez kilku zakonników. Żeby go rozwiązać, dobudowywano przy ramionach transeptu kaplice, nawet prezbiterium otaczano wieńcem kaplic. Wpływ tej koncepcji widzimy w katedrze wrocławskiej i krakowskiej, oraz w kościele w Trzebnicy.

Cystersi z czysto konstruktywnych założeń przeszli od sklepienia romańskiego, komponowanego na kwadracie, do sklepienia gotyckiego, opartego na prostokącie. Można powiedzieć, że Cystersi dali początek architekturze gotyckiej.

Architektura gotycka na Śląsku miała specjalne oblicze przy dwóch systemach rozwiązań przestrzennych: bazylikowym i halowym. Sklepienia są zawieszone wysoko. Wnętrze dość suche. Stosunek do formy nie znalazł tu pełnego wyrazu. Brak podziałów architektonicznych. W katedrze wrocławskiej spotykamy portale rzeźbione, analogiczne do rozwiązań portalowych na zachodzie.

Jeśli chodzi o budownictwo świeckie epoki piastowskiej, to zamki, zaledwie ruszone przez badania, wykazują słowiańskie pochodzenie. Charakterystyczną cechą jest wydzielenie wieży, jako ostatniego punktu obrony, np. w Bolkowie. Wyłania się cały system obronny, zamykający wyjście z dolin. Późniejsze przeróbki zatarły gdzieniegdzie postać pierwotną.

Ciekawe jest zagadnienie kształtowania się architektonicznego miast. Niejedna teza o rzekomo niemieckim ich pochodzeniu jest dziś podstawowo zachwiana. Prostokątny układ z rynkiem w pośrodku spotyka się nie tylko u Niemców, ale i Słowian. Na Śląsku nie ma ściśle przestrzeganego układu.

Obydwa odczyty stanowią cenny wkład do naszych prac naukowo-pionierskich, nie tylko ze względu na swoją treść, ale i na audytorium. Wysłuchało ich, oprócz przygodnej publiczności, kilkudziesięciu badaczy dziejów kultury, historyków sztuki, archeologów, muzeologów, ludzi, dla których każdy kamień, każda cegiełka, czy skorupa ma swoją głęboką wymowę, a każde cudze odkrycie jest bodźcem do nowych badań. Posiew, rzucony na taką glebę, wydaje plon stokrotny, rozrasta się w gęstą sieć, obejmującą Ziemie Odzyskane w posiadanie, trwalsze od umów i traktatów, ugruntowane odwiecznymi prawami życia gromadnego, kultury zbiorowej, zespołowego wysiłku naszych praojców.

S. P. O.

»ODRA«
powinna znaleźć się
w każdym domu!

Sprawy teatru

Rozmach bez pokrycia

Teatr Śląski im. St. Wyspjańskiego. Michał Bałucki: „Dom otwarty". Komedia w 3. aktach. Reżyseria: Aleksander Bardini. Dekoracje i kostiumy: Władysław Daszewski.

Jeżeli pragnie się przesadzić jakąś przeszkodę, zwłaszcza gdy przeszkoda ta jest malutka i niziutka, nie należy brać zbyt dużego rozpędu, ponieważ: 1) łatwo w biegu o potknięcie. 2) przeważnie „wypada na niewłaściwą nogę", wskutek czego uwidacznia się wysiłek a gubi styl. Niechaj to porównanie będzie zarazem założeniem omówienia ostatniej premiery Teatru Śląskiego, jaką jest M. Bałuckiego „Dom otwarty".

Niestety, w niewątpliwym rozmachu z jakim wystawiono tę komedię, potknięć było więcej niż przy wznowieniu (grano już tę sztukę w identycznej inscenizacji, chociaż niemal zupełnie innej obsadzie w 1940 r. we Lwowie) i przy tak widocznym nakładzie pracy jest to dopuszczalne. Wydaje mi się, że wysiłek i koszta w nią włożone, są nie mniejsze od tych jakie pochłonął „Wieczór trzech króli". Szkoda ich trochę.

„Dom otwarty" jest mieszczańską farsą obyczajową, pisaną przez mieszczucha dla mieszczuchów. Jej faktura o wartościach wyłącznie teatralnych (i to w czysto wzrokowym sensie) nie posiada ani intrygi, ani problemu społecznego, ani pierwiastków satyrycznych. Jej „mieszczańskość" jest pomyślana serio, a groteskowe postacie „typowe", występujące obok traktowanych poważnie i z całą sympatią autora i widowni śmieszą właśnie przez kontrast a nie przez uwypuklenie mieszczańskich wad. Cała jej problematyka polega na wykazaniu, że goście w domu to kłopot i moc przykrości. (Jakże fałszywie brzmi na tym tle najbardziej polskie, powiedziałbym piastowskie przysłowie: „Gość w dom, Bóg w dom"). Bałucki nie miał ambicyj Zapolskiej i z Bałuckiego nie da się zrobić Zaposkiej. Tu właśnie leży zasadniczy błąd inscenizacyjny.

Aleksander Bardini opracował sztukę drobiazgowo, w szczegółikach jakie jej się nawet nie należą, ale nadał jej niepotrzebnie charakter satyry społeczno-obyczajowej. Cały wysiłek, rzecz jasna, musiał trafić w próżnię.

Całość inscenizacyjna oparta jest o kapitalną, bodajże najlepszą z widzianych na tej scenie dotychczas, stylizowaną a równocześnie doskonale sharmonizowaną z pomysłem reżysera dekorację **Władysława Daszewskiego.** Ale tu właśnie natrafiamy na dwa wstępne potknięcia. 1) umieszczenie (zgodnie z błędnym założeniem reżysera) w centralnym miejscu portretu cesarza Franciszka Józefa, 2) „panopticum" figur woskowych w sali za bufetem z aktu drugiego. W tym miejscu można już rozpocząć całą litanię znaków zapytania: dlaczego np. wuja Telesfora zrobiono c. k. oficerem austriackim, chociaż nigdy nim nie był? dlaczego Wróbelkowski, o którym mówi się „chłystek", „smarkacz" itp. ma łysinę i co najmniej pół setki lat życia podczas gdy dużo lepszy efekt wywarłoby nonszalanckie rozłożenie się na kanapie zblazowanego wprawdzie, ale rzeczywistego młodzieniaszka? dlaczego Fikalski przychodzi na „wieczór tańcujący" już obwieszony orderami, zamiast obwiesić się nimi przy kotylionie? dlaczego cztery siostry Ciuciumkiewiczówny nie są śmieszne, ale pokracznie makabryczne? dlaczego Żelski, Kamila, Adolf i inne postacie traktowane poważnie, zrobione są na groteskowych idiotów w typie Fikalskiego? dlaczego uczniom studia (Bagatelka) pozwolono robić w teatrze cyrk? dlaczego...?

Pytań takich znalazłoby się więcej, ale wystarczy, że postaram się odpowiedzieć na postawione. Po prostu spora część zespołu nie dała sobie rady, a przecież w sztuce tej aktor musi mieć więcej do powiedzenia od autora.

Tenże „Dom otwarty" oglądany przeze mnie w 1940 r. we Lwowie nie tyko nie budził tylu zastrzeżeń co dziś, ale był uważany za duże osiągnięcie reżyserskie. Było to zasługą ówczesnych wykonawców, z których w tych samych rolach pozostali tylko Wierzejska, Brochwicz i Kordowski. Aby nie być gołosłownym dodam, że wuja Telesfora grał J. Leliwa, Fikalskiego — M. Węgrzyn, Adolfa — T. Surowa, Żelskiego — B. Dąbrowski, jedną z 4. pomylonych sióstr Z. Łozińska, najdrobniejszy epizod wykonany był przez aktora, posiadającego podejście do roli.

Że można było i teraz wiele uratować, wykazała to **Zdzisława Życzkowska,** która potrafiła zachować właściwy umiar przy jaskrawym kostiumie Pulcherii, **Zuzanna Łozińska,** którą wdzięk i rutyna zatrzymały na krok przed przekroczeniem dozwolonej granicy wreszcie groteskowi w dobrym stylu odtwórcy ról Fikalskiego **(T. Surowa),** Wicherkowskiego **(W. Brochwicz),** Fujarkiewicza **(J. Kordowski)** i Ciuciumkiewiczowej **(Z. Wierzejska). Tedeusz Woźniak** w roli Żelskiego musiał pokonać niewłaściwe postawienie roli, jednak stworzył ciekawą, opracowaną w szczegółach, postać rezonera. Wuj Telesfor w ujęciu **M. Bogusławskiego** prawie że nie istniał. Niektórych jeszcze można obciążyć instrukcjami reżysera (Adolf — **Zb. Pelc,** Wróbelkowski — **P. Połoński)** ale pozostałą muszą jeszcze podpatrywać dobrych, starych aktorów. Nie dotyczy to naturalnie **M. Bieleckiego,** który był bez zarzutu w roli Franciszka oraz poprawnego w roli Ciuciumkiewicza **S. Zwerlinga.**

Kostiumy wg projektu W. Daszewskiego tworzyły harmonijną całość z dekoracją i podkreślały groteskowość inscenizacji.

Koncepcja Aleksandra Bardiniego, należy to podkreślić, na wskroś oryginalna, posługująca się tekstem jako materiałem pomocniczym interpretowanym najzupełniej dowolnie, jest na ogół do przyjęcia, za wyjątkiem owej tak chętnie stosowanej w Teatrze Śląskim stylizacji **par force,** groteski za wszelką cenę, tam nawet gdzie nie bardzo się ona nadaje. Dziś, trzeba to wiedzieć, wielkie teatry wracają do klasycyzmu.

Bogdan Butryńczuk

Prapremiera w Opolu

„Niebo bez gwiazd", dramat w trzech aktach Jadwigi Radlińskiej w adaptacji scenicznej W. Zdanowicza. Dekoracje M. Łańcuckiego. — Wiekuisty problem miłości, w konflikcie z uczuciem przyjaźni i wdzięczności, stanowi w dramacie Radlińskiej istotę podstawową i jest głównym tematem rozważań tego, prapremierowego spektaklu w Opolu. W typowej dla podobnych sytuacji roli „męża", występuje człowiek, który uratował życie pięknej topielicy-samobójczyni. Jest nim inżynier-budowniczy, postać sympatyczna, kompozycyjnie zwarta i wyrazista. Zdrowy moralista, mógłby być dobrym mężem uratowanej Elżbiety. Rodzi się miłość. „Na drodze" — ukazuje się przyjaciel inżyniera, wesoły i zamożny, „oblatany w świecie" uwodziciel kobiet — Szymon, miła i niemiła antyteza zrównoważonego inżyniera. Zakochany w Elżbiecie, chce nawet życie sobie odebrać. Powstaje „trójkąt". Na przestrzeni kilkunastu starannie opracowanych scen rozgrywa się konflikt między trzema wyrazami uczucia, miłości, przyjaźni i wdzięczności. W wyniku: pojęcia etyczne stają się plasteliną, z której zarówno przyjaciel jak i uratowana topielica potrafią ulepić figurkę własnego szczęścia. Interesującym wyrazem tego konfliktu staje się walka drzemiących w podświadomości Elżbiety kategoryj etycznych z impulsywną świadomością miłości do Szymona. Nad inżynierem roztacza się „niebo bez gwiazd": zostaje samotny. Czy tamci będą szczęśliwi? Czy wolno budować szczęście na nieszczęściu drugich? Refleksję tę pozostawia autor widowni, aczkolwiek odpowiedź nie będzie sprawą łatwą, bowiem każdy ma prawo do szczęścia, a miłość uszlachetnia i z największego gałgana czyni niekiedy całkiem przyzwoitego człowieka. — W przekroju analitycznym dramat Radlińskiej nie wykazuje zasobu cech interesujących szczególnie wrażliwą skalą rozważań. Przedstawia wartość konwencjonalną i nie rozszerza repertuaru teatralnego o pozycję wyraźnie gatunkową. Pod względem kompozycji, ładu, równowagi i dynamiki, utwór opracowany jest w stosunku równym do poziomu i etektu rozważań, a propos tematu. Nie przerasta poprawnego szablonu, choć napisany jest z dużym wyczuciem sceny i sporą dozą talentu. „Adaptacja sceniczna" reż. Zdanowicza nie przysporzyła wartości tej dobrej zresztą próbie dramatu. Spaczyła realną postać Szymona w humorystyczną sylwetkę durnego lowelasa, naruszyła logiczny pion kompozycji — i tu autorka nie ma powodu do zadowolenia. Wykonanie aktorskie — na poziomie dobrego spektaklu. Inżynierem był Radwan, Elżbietą — Nowiczówna, przyjaciela odgrywał (tak, jak mu podano) Orłowski. Epizodyczne postacie utworu, Gospodyni, Zosi i Posłańca, odpowiedni wyraz znalazły w interpretacji Hudetzowej, Kulikówny i Smolki. Na oddzieną wzmiankę zasługują również dekoracje M. Łańcuckiego, miękkie w kolorze i miłe.

W. Hlouszek.

Czasopisma teatralne

Ukazały się ostatnio dwa nowe czaspisma teatralne. Pierwsze z nich, **„Listy z teatru",** miesięcznik krakowski, będący kontynuacją „Afisza Starego Teatru", drugie, to **„Teatr",** wychodzący w Warszawie, sądząc po osobie redaktora, którym jest J. N. Miller, wznowienie wydawnictwa podjętego pod tą samą nazwą w październiku ub. roku. Nb. obie nazwy nie są obce dla historyka pism teatralnych. Przypomnijmy sobie „Listy z Teatru" prof. Świątka i „Teatr" Terleckiego.

Pisma polskie, poświęcone sprawom teatru (historię ich trzeba by chyba zacząć od Koźmianowskiego „Afisza") mają swą piękną tradycję. Z niekłamaną radością witamy powojenne próby wznowienia tych wydawnictw, przy czym w powitaniu mieści się pobożne życzenie pięknego, trwałego rozwoju. Znajdzie się na pewno wielu „wtajemniczonych", którzy, mądrzej i ładniej niż ja bym to potrafił uczynić, będą mówić o wartości prac drukowanych w pierwszych numerach „Listów z Teatru" i „Teatru". Pragnę się od tego, miłego zresztą obowiązku „wymigać" zupełnie celowo, by zdobyć więcej miejsca na pozbawione wszelkiej złośliwości uwagi o brakach.

Nie sądzę zresztą, bym tym stanowiskikem miał wyrządzić krzywdę ledwie wylęgłym pismom.

Braki, o których zgodnie z zapowiedzią chciałbym tu wspomnieć, mają charakter dość ważki. Pierwsze z niedociągnięć dotyczy obu pism. Czasopisma teatralne, nie wiem dlaczego, zapominają o podstawowym obowiązku, jakiemu powinny służyć, **o obowiązku pisania historii teatru.** To, co znajdujemy na ich łamach mogłoby nosić raczej nazwę historii kierunków myślowych o teatrze. Takie artykuły są potrzebne — rzecz jasna — stanowią one zresztą fragment tej historii, ale brak jest obok nich skrupulatnie prowadzonej, szczegółowej kroniki najważniejszych choćby teatrów w Polsce. Zajęcie może nudne, nieefektowne, ale jakże potrzebne dla przyszłych badaczy dziejów teatru. Nie można liczyć, iż zawsze będziemy mieli takie szczęście, że ktoś, jak na przykład Boy swymi 16-tu tomami recenzji, zrobi za nas tę czarną robotę. Publikacje tego typu co „Teatr Poski w Warszawie" (rok wydania 1938) ukazują się przecież w latach jubileuszu, powiedzmy na 25-lecie i dotyczą tylko jednego teatru.

O tym warto pomyśleć zwłaszcza dziś, bo nic tak łatwo się nie gubi w historii jak dane dotyczące jej początków. Miejsca na to wiele nie potrzeba, krótkie, niemal statystyczne notatki nonparellem wystarczą. Wstawić by je można w rubrykę „Z życia teatru" (patrz czas. „Teatr") zamiast nic nikomu nie mówiących, nieraz wręcz bzdurnych t. zw. korespondencji. Przykład takiej bzdury to drugi błąd, o którym chcę mówić. Zarzut ten adresowany jest już tylko do redakcji „Teatru" z gorącą prośbą o uwzględnienie w dalszej pracy.

W podwójnym numerze „Teatru" kronikę śląską pisze p. Zdzisław Skowroński. Pozaśląskie czasopisma nie mają szczęścia do korespondentów ze Śląska. Niedawno trzeba było publicznie trzepnąć po palcach takiego z nich, który pozwolił sobie na ujmowanie nierzeczową u kogoś zasłyszaną opinią dwudziestu wieczorów Klubu Literackiego, nie będąc na żadnym z nich obecnym. Teraz p. Zdzisław Skowroński. Nie wiem, skąd „Teatr" wygrzebał takiego korespondenta.

Pan Skowroński, w repertuarze teatru katowickiego za sezon 1945/46, dostrzegł ledwie „Wieczór Trzech Króli". Jakieś bielmo przesłoniło mu i „Wesele" i „Ich Czworo" i „Stary Dzwon". No, ale to wolno, gorzej jednak, gdy korespondent „Teatru" pisze tak: „W dziedzinie teatru robotniczego, ludowego, nie zrobiono dotychczas na Śląsku nic, osiągnięć po prostu nie ma żadnych. Przy każdej niemal hucie, czy kopalni istnieje klub sportowy, ale na palcach można wyliczyć te zakłady pracy, które posiadają scenki amatorskie". Uśmiawszy się z wyssanych z palca bredni, mogę stwierdzić, że p. Skowroński zielonego pojęcia nie ma o sprawach, którym czas swój cenny poświęca. Niepotrzebnie razi go fakt, że „przy każdej niemal hucie, czy kopalni istnieje klub sportowy. Objaw to nader szczęśliwy, a o tych scenkach amatorskich to już całkiem „austriackie gadanie". Korespondent „Teatru" musiał by wiele mieć palców, by policzyć teatrzyki amatorskie na Śląsku, znacznie więcej, niż stonoga nóg. Redaktorowi „Teatru" zaproponowałbym rozmowę w tej sprawie z instruktorem teatrów niezawodowych w Centralnym Instytucie Kultury w Warszawie, panem J. Nowackim, który był na Śląsku od marca do końca maja br., prowadząc kurs dla organizatorów i reżyserów teatrów ochotniczych. Odpowiedź pana Nowackiego przekonałaby dostatecznie. Pan Skowroński w dalszym ciągu proponuje czytelnikom wysnucie wniosku o „obojętności mas robotniczych Śląska wobec zagadnień teatralnych". Gdzie jak gdzie, ale właśnie na Śląsku, teatr amatorski kwitnie bujnie, może dziko, może mu brak istotnie troskliwej ręki ogrodnika, ale pełen jest najlepszej woli. Proszę zajrzeć kiedy na świetlicę kopalnianą: praca organizacyjna zespołu świetlicowego zawsze zaczyna się od powołania do życia sekcji teatralnej. W sprawie teatru pana Micińskiego... ale, czy my musimy zajmować się wszystkimi bredniami pana Skowrońskiego? Szkoda czasu. Na przyszłość radziłbym „Teatrowi" pewną ostrożność w doborze korespondentów, bo po co obniżać poziom pisma błędami, przed którymi nie trudno się ustrzec.

Mieczysław Markowski.

Korespondencja

Na temat »Szkarłatnych róż«

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE

W przedostatnim (19) numerze **„ODRY"**, p. Bogdan Butryńczuk zamieszcza artykuł pt. **NOWY PROBLEM** rozważający, po raz niewiadomy który, sprawy Teatru Śląskiego. Nie jestem upoważniony do obrony polityki Teatru Śląskiego, chociaż jako reżyser tego teatru chętnie bym to uczynił. Musiałbym jednak mieć świadomość, że pan B. będzie w stanie rozmawiać poważnie, bez uprzedzeń i że na sercu leży mu wyłącznie dobro teatru. Ponieważ jednak pan Butryńczuk poświęca w swoim artykule kilka zdań mojej osobie i ponieważ fakty przez niego przytaczane nie zawsze są zgodne z rzeczywistością, pragnę je sprostować. Pyta pan B., dlaczego dyrekcja z pośród całej literatury dramatycznej wszystkich czasów i krajów wybrała właśnie **MOJĄ SIOSTRĘ, JAK w BAJCE, KRAWCA w ZAMKU** czy **SZKARŁATNE RÓŻE** — pomijając milczeniem fakt, że Teatr Śląski zaprezentował kilka sztuk z wielkiego repertuaru, którymi umocnił swoją pozycję pośród teatrów polskich. Miałem kiedyś w Instytucie Śląskim sposobność mówić o sprawach katowickiego teatru i starałem się wyjaśnić, dlaczego repertuar katowickiego teatru wygląda właśnie tak a nie inaczej. Przytaczałem cyfry i opowiadałem o moich spostrzeżeniach katowickich i z terenów wyjazdowych naszego teatru. Nie wiem czy pan B. był obecnym na tej konferencji teatralnej — w każdym razie znalazłby odpowiedź na dręczące go pytanie.

Pyta dalej pan B. czy jest ktoś, kto poza mną orientuje się coś nie coś w repertuarze — przytem jednym tchem darzy mnie talentem poligloty, uniwersalnego reżysera, autora, tłumacza i muzyka. Istotnie. Znam doskonale kilka języków europejskich i uczę się dalszych, poliglotą jednak nie jetem. Niestety nie uważam się również za uniwersalnego reżysera, bo obawiałem się wystawić **DRUGĄ OKUPACJĘ i NIEMĄ z PORTICI.** Muzykiem nie jestem. Chyba o tyle, że nauczyłem się grać na cytrze piosenkę o mojej Warszawie. Moim zdaniem to trochę za mało, aby zasłuyć sobie na tytuł muzyka. W repertuarze — owszem — orientuję się doskonale właśnie dzięki moim kwalifikacjom językowym ale zapewniam pana B., że orientacja moja niema wpływu na układ repertuaru Teatru Śląskiego. Mamy od tego Radę Artystyczną, której wybitnym członkiem jest również Dr. Jerzy Koller. Nie zawsze w teatrze wszystko da się tak zrobić, jakby tego pragnęli krytycy mimo Rad Artystycznych i zapowiedzi dyrekcji. Aktorzy mają dziwne zwyczaje. Czasem domagają się, żeby im zapłacić gaże.

Pisze dalej p. Butryńczyk, że w zimie r. 1946 uruchomiłem swoją „fabryczkę autorską" i produkuję w niej „ersatze" dla Teatru Śląskiego. „Ersatze kasowe". To nieścisłe. Fabryczkę moją uruchomiłem przynajmniej z piętnaście lat temu. Z fabryczki tej wyszedł między innymi „kasowymi" (co robić, proszę pana, zawsze wolałem, żeby moja produkcja była kasowa) utworami w roku 1936 „Krawiec w zamku" i w rok później dyrektor Karol Frycz, znakomity artysta i esteta teatru, wystawił tę „szmirę" z ogromnym powodzeniem w teatrze im. Juliusza Słowackiego w Krakowie. Również przedwojennym produktem mojej wytwórni jest przekład „Szkarłatnych róż", granych przez tenże teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie w roku 1939, a potem przez teatry miejskie we Lwowie, Łodzi itd. Dużo się w tej fabryczce robiło. I dość często nawet z uznaniem. A więc to żadne wojenne czy powojenne „lipy", proszę pana!

Nieścisłością jest również, że p. Butryńczuk mnie przypisuje wystawienie „Szkarłatnych róż" na „Małej scenie". Nie było wprawdzie na premierze programów, ale z afisza mógł pan B. odczytać, że jestem t y l k o autorem przekładu i że za przedstawienie odpowiedzialny jest pan Stanisław Winczewski, kierownik artystyczny imprezy, której Teatr Śląski użyczył gościny na „Małej Scenie". My z tym nie mamy nic wspólnego.

Pisze dalej pan B., że nie miałby do mnie pretensji, gdybym, zamiast tracić energię na przekład „Szkarłatnych róż", zabrał się do tłumaczenia, a nawet napisania na nowo „Iliady". Bardzo dziękuję. „Iliada" mi się nie opłaca. Wolę np. „Ara Amandi". To będzie bardziej kasowe.

Raczy pan, panie Redaktorze, przyjąć wyrazy głębokiego szacunku i poważania.

Władysław Krzemiński.

Uzupełnienie

Ponieważ obciążony niebezpieczną pasją „literacką" p. Krzemiński, ulegając jej tym razem w liście skierowanym do redakcji „Odry" zapomniał nie tylko o rzeczowych wyjaśnieniach, o jakie mu niewątpliwie chodziło, ale i o istnieniu prawdy, która dla mnie odgrywa rolę, przeto poczuwam się do obowiązku zbyt rażące jej ominięcia sprostować, a pewne braki schematycznie uzupełnić:

1) Nie ominąłem dotychczas ani jednej okazji, aby podkreślić ważność społeczną i artystyczną Teatru Śląskiego, ale nie należy do moich obowiązków wyrównywanie różnicy poziomów powstałych przy wygórowanej opinii realizatorów byle „szmiry" a jej krytyczną oceną.

Chciałbym wierzyć, że następny sezon wraz z upaństwowieniem Teatru Śląskiego, przyniesie zerwanie z niewątpliwymi błędami sezonu minionego, jak również ze współpracą tych, którzy „zawsze woleli, aby ich produkcja była kasowa".

2) Ponieważ członkowie Rady Artystycznej nie są zapraszani na jej zebrania (znam takich, którzy nie byli na żadnych), uważam ją za fikcję, a powoływanie się na nią co najmniej za nieścisłe.

3) Nie wiem, czy p. Krzemiński jest już egzaminowanym reżyserem, jeśli jednak udzielono mu przed dwoma czy trzema miesiącami kompetencji w tym zakresie w uznaniu jego 15-letniej praktyki teatralnej — to przyznam, należało mu się wreszcie Jeśli jednak sztuką reprezentacyjną miała być „Jak w bajce" (o „Krawcu w zamku" nawet nie wspomnę), grana przez aktorów za każdym razem inaczej w stylu comedia del arte, to przyznanie jej jakiegokolwiek wkładu inscenizacyjnego uważam za przeoczenie, wynikające z jednorazowego jej oglądania.

4' Z radością przyjmuję odżegnanie się od „Szkarłatnych róż", jednakże na afiszu instytucją firmującą to przdstawienie był Teatr Śląski im. St. Wyspiańskiego.

5) Ostatnie zdania listu oraz inne pominięte przeze mnie momenty są dość dyskredytujące autora i nie wymagają komentarzy.

Bogdan Butryńczuk

O rzetelność wspomnień

SZANOWNY PANIE REDAKTORZE!

Wspomnienia i pamiętniki mogą być ogromnie ważnymi źródłami historycznymi. Zależy od tego, kto je pisze i jak. Najważniejsze są te — pisane w chwili bieżącej, gdyż odtwarzają i nastrój i zdarzenia, jak się w danej chwili przedstawiały. Mamy zresztą już całą literaturę na temat pamiętników i wspomnień, i te uwagi ogólne piszę tylko na marginesie.

Oprócz pamiętników z lat 1939—1945, ukazały się ostatnio w prasie i wspomnienia z powstań górnośląskich. Bardzo tego było nie wiele, tym gorzej zatem, że i wśród nich znalazły się, delikatnie określając, niepotrzebne, i zaciemniające czasy i sprawy przez siebie opisywane.

Mam pod ręką żywy i jaskrawy tego przykład.

Tygodnik „Wieś" w nr. 18—19 z dn. 19. V. 46 r. umieścił artykuł ob. Adolfa Kotarby pt. „Powstanie Górnośląskie".

Nie kwestionuję tytułu, chociaż wcale nie jest to artykuł o powstaniu, a fragment osobistych wspomnień, i to wspomnień dopiero z czerwca 1921 r. Autor był dowódcą plutonu w pociągu pancernym „Ślązak". Pociąg ten wraz z „kolegą" poc. panc. „Pieron", brał udział w walkach pod Gliwicami.

Autor pisze w formie pamiętników, podając dokładne daty od 23. V. do 30. VI. 21 r. W akcji powstańczej na Górnym Śląsku bierze udział od 8. VI. — Mimo tego, chwilowego pobytu uprawnionym czuje się autor do wydawania sądów i opinii o Ślązakach. Pisze o nich tak: — „Nauczyli się znać od Niemców przysłowia: „gdzie chleb, tam Ojczyzna" i uważają Niemców za swych prawowitych opiekunów. Dla nich wszystko jedno czy rządzą Niemcy, czy też kto inny". Opinie takie, w tych warunkach, są w ogóle niedopuszczalne. Autor wypowiada je na podstawie tego, że w plebiscycie padło w Łabętach za Niemcami 167 głosów, a było tam tylko 5 rodzin niemieckich. Nie znając stosunków, nie wie nic widocznie o głosowaniu emigrantów. Nie dziwiłby się, gdyby padło i 500 głosów w jakiejś czysto polskiej miejscowości, gdzie przypadkiem był np. niemiecki szpital dla rodzących matek!

Śmiesznie na tym tle wyglądają jakby dzisiaj „doczepione" pochwały demokracji, chłopa i robotnika i kobiety górnośląskiej.

Opisuje dalej jeden jedyny tylko epizod bojowy, i to opisuje go co najmniej dziwnie... Jako niższy zresztą, dowódca oddziału w pociągu pancernym, nie mógł naturalnie autor podać nam jakichś rewelacji wojennych. Patrol jednak chyba powinien był opisać porządnie.

Chodzi o wypad pod Gliwicami w dniu 19. VI. 1921 r.

Patrol to był, jak patrol, tysiące takich było, i nie warto by o nim pisać nieuczestnikowi. Tylko, że autor, nie wiadomo po co, i w jakim celu, wyśmiał przy tej okazji dzielną ochotniczkę i koleżankę naszą z III Powstania.

Tak się zaś zbiegło, że przypadkiem i ja znam przebieg tego patrolu.

Otóż pisze ob. Kotarba, że na ów patrol wybrała się też sanitariuszka z pociągu sanit. „p. Mila" z Sosnowca". — „Towarzyszyła ona oficerom na zabawach w Łabętach; teraz wybrała się z nimi jakby do kina".

Gdy zginął jeden z uczestników patrolu — ob. Kotarba pisze, że p. por. Stanisław W. ze Lwowa (dlaczego nie podano nazwiska?) — zaginęła i p. Mila. Autor pokpiwa sobie „smacznie", — „może zemdlała, co trafia się kobietom i w mniej ważnych okolicznościach".

Otóż, wiem na pewno, że zginął na tym patrolu powstaniec Kozakowski. Rannych było kilku. Że owa „panna Mila" zachowała się wówczas tak jak powinna się była zachować, również wiem na pewno. (Nie nazywała się zresztą wcale Mila, nie pochodziła z Sosnowca, i ten patrol wcale nie by dla niej pierwszym). — Po prostu, znała swoje obowiązki sanitariuszki, pozostała przy rannym, i Niemcy ją zagarnęli. Odesłali ją zresztą w kilka dni później.

Roman Horoszkiewicz.

Z wydawnictw muzycznych

Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik" kontynuując bardzo cenne dla upowszechnienia kultury muzycznej wydawnictwo pod tytułem „Biblioteka Amatorskich Zespołów Muzycznych" wydała w maju dwa nowe zeszyty. Czwarty numer kolejny nosi nazwę **„Ze starej muzyki"** (Suita na mały zespół orkiestrowy) w opracowaniu czołowej kompozytorki i wybitnej skrzypaczki polskiej **Grażyny Bacewiczówny.** Suita składa się z 11 krótkich utworów (w większości tańców) mistrzów włoskich i francuskich z końca 17. i początek 18. wieku, starannie wybranych i opracowanych z wielką znajomością stylu i z dobrym wyczuciem możliwości wykonawczych młodocianych muzyków w zespołach szkolnych, ewentualnie w zespołach amatorskich. Skład orkiestry jest następujący: skrzypce I, II, III (lub altówka) i wiolonczela, oraz flet, klarnet B i fortepian. Układ dobrze brzmiący, z ciekawie, jak na bardzo ograniczone możliwości techniczne, prowadzonymi głosami i bardzo troskliwie potraktowaną stroną znaków dynamicznych, oznaczenia temp i sposobów wykonania (wskazane byłoby także oznaczenie kierunku prowadzenia smyczków, a niekiedy i palcowania). W zeszycie partii fortepianowej znajdą miłośnicy muzyki krótkie, ujmujące samą istotą, objaśnienia historyczne pióra Karola Stromengera.

Zeszyt 5. Biblioteki Amatorskich Zespołów Muzycznych napisany przez **Witolda Rudzińskiego,** znanego kompozytora i pedagoga, nosi nazwę „Na serdeczną nutę" i jest suitą składającą się z sześciu pięknych pieśni ludowych polskich w układzie instrumentalnym na kwintet smyczkowy (skrzypce I i II, altówka, wiolonczela i kontrabas), flet (który może być zastąpiony przez obój, lub wiolino obligato), trąbkę B., perkusję (mały i duży bęben i talerze' oraz fortepian (lub akordeon) — zespół, jak widzimy nieco bogatszy, lecz również prosty. Suita utrzymana na bardzo łatwym poziomie technicznym mimo prostoty faktury, nosi cechy muzyki artystycznej z jędrną sensowną harmonizacją i gładkim prowadzeniem głosów. Tu również przy widocznym starannym opracowaniu uważałbym za wskazane podawanie kierunku smyczków, szczególnie przy pauzujących II skrzypcach i altówkach. Druk na ogół jasny, czysty i dobrze czytelny, (jest jednak kilka miejsc o wątpliwym położeniu nut — na, czy pod linią), pożądany byłby.... w przyszłości dla wydawnictw nutowych jednakże cokolwiek lepszy papier.

M. Józef Michałowski

Sprostowanie

W „Krótkich spięciach" w nrze 20 (31) zakradła się pomyłka. Wspomniany tam list otwarty A. Mostowicza ukazał się nie — jak mylnie podano — we wrocławskim „Pionierze", lecz w „Trybunie Dolnośląskiej".

Glossy i notatki

ZNOWU SPROSTOWANIE

Ostatnio dosyć często przychodzi nam stawać w obronie, lub przypominać... Ignorancja lub przeoczenia tyczą się głównie śląskiego życia kulturalnego, więc także np. teatru. Niedawno taką ignorancję wykazał pan Dereżyński z „Arkony". Wygodniej mu było, by zaszczyt wznowienia przedstawień Szekspirowskich w Polsce przypadł Toruniowi. Nic z tego nie wyszło — obroniłem Katowice. Teraz znowu atak na nasze prawa. I to ze strony najmniej spodziewanej. W pierwszym numerze warszawskiego „Teatru", w czołowym artykule pt. „Dziś i jutro teatralne" p. Michał Rusinek, ujmując zwięźle historię teatru w Wolnej Polsce wyróżnia Teatr Powszechny z Krakowa za wystawienie prapremiery Szaniawskiego i.. Gołby. Otóż, o ile mię domyślność nie zawodzi, chodzi o „Dwa teatry" i o „Lompę". Co do pierwszej pozycji nie mam zastrzeżeń. Jeśli jednak idzie o sztukę Gołby, to z największą przykrością muszę skorygować słowa autora „Z barykady w dolinę głodu" stwierdzam, że „Lompa ujrzał światło kinkietów na scenie katowickiej A. D. 1945.

Wprawdzie wystawił tę sztukę tu u nas tenże sam Adwentowicz, ale prawo prapremiery zostaje przy teatrze, a nie przy osobie dyrektora. Prosimy sprawdzić ten wypadek, i w ogóle, może jakoś dałoby się sprawdzać enuncjację przed drukiem. Bo znowu: mała rzecz, a wstyd. **(m)**

O PROFANACJACH

Pierwszy numer wznowionego co dopiero popularno-naukowego czasopisma astronomicznego „Urania" powtarza za „Gazetą Ludową" wiadomość o sprofanowaniu miejsca wiecznego spoczynku Mikołaja Kopernika w gotyckiej katedrze we Fromborku. „Wszystkie napotkane trumny były porozbijane, prawdopodobnie przez złodziei drogocennych przedmiotów. W innych trumnach urządzono po prostu skład śmiecia wszelkiego rodzaju... **stan taki trwa już z górą rok i jak dotąd, nikt się nim nie zainteresował".**

To samo widzieliśmy w roku ubiegłym w grobach Piastów w Brzegu. Tam wymieniono nawet nazwiska co znaczniejszych „szabrowników" i profanów. W Nysie w kościele św. Jakuba rozrzucone były po całej świątyni relikwie świętych, a w relikwiarzu pełno było łajna...

Wiele jest jeszcze na Ziemiach Odzyskanych miejsc, w których — jak się to dzieje we Fromborku — trwa niszczycielski stan sprzed roku. Dziwimy się, że nie interesują się tym Wydziały lub Referaty Kultury i Sztuki. Dziwimy się, że nie karze się znanych niejednokrotnie z nazwisk profanów i „szabrowników". **(wisz)**

CZYTAMY PRASĘ

Jednym z najsilnieszych argumentów, wysuwanych ze strony anglosaskiej przeciwko odebraniu Niemcom przez Polskę ziem nadodrzańsko-nyskich jest argument niebezpiecznego, zdaniem Anglików, okaleczenia niemieckiej gospodarki. Brak tych ziem w granicach Rzeszy nie pozwoli Niemcom, zda się, nigdy dojść do jakiejkolwiek normalizacji gospodarczej. Z główną częścią tego argumentu rozprawił się Rajmund Buławski (w aspekcie ziemi, rolnictwa i ludności) w swej rewelacyjnej pracy, pomieszczonej w zbiorowym tomie II Sesji Rady Naukowej dla zagadnień Ziem Odzyskanych. Obecnie mamy do zanotowania dalszą tego typu pracę. Mianowicie w najświeższym **„Przeglądzie Zachodnim" Juliusz Kolipiński** zamieszcza studjum pt. „Gospodarka niemiecka bez ziem za Odrą i Nysą". Na podstawie ogromnie ciekawych badań i wnikliwej analizy głównie t. zw. dochodu społecznego w Niemczech dochodzi Kolipiński do stwierdzenia, że ów rzekomo groźny spadek dochodu społecznego Niemiec w nowych granicach (bez Pomorza Zachodniego, Śląska i Ziemi Lubuskiej) wyniesie akurat tyle, ile... wydawali Niemcy przeciętnie na cele wojenne np. w latach od 1927—1939. Studium to, poparte tablicami statystycznymi, operujące dużym materiałem porównawczym, ugruntowane autentycznymi wypowiedziami samych Niemców warto było by przetłumaczyć, podobnie jak to ma być zrobione z pracą R. Buławskiego, na język angielski.

W tym samym numerze **„Przeglądu Zachodniego"** zestawia historycznie i gospodarczo Polskę z morzem **Eugeniusz Kwiatkowski** w pracy pt. „Polska i morze". Wywody E. Kwiatkowskiego tchną otuchą w czasach, gdy zewsząd słyszy się narzekania. Mówiąc o wielkim wysiłku zespołów ludzkich na Wybrzeżu i doceniając znakomite warunki geograficzno-gospodarcze Wybrzeża twórca Gdyni powiada m. in.: „Dziś możemy już stwierdzić, że porty nasze w ciągu czterech lat odbudujemy całkowicie. Do chwili obecnej w ciągu zaledwie 10 miesięcy pracy odbudowaliśmy wiele elementów portowych w granicach 30—40 proc. stanu przedwojennego. Zarówno na Bałtyku jak też i w całej Europie północno-zachodniej wiele portów pozostaje nadal w stanie martwym. Wobec mnie stwierdzili to przedstawiciele misji obcych..." Artykuł Kwiatkowskiego analizuje zjawiska ekonomiczne, jakie wyrastają na tle naszego morza i wybrzeża nie tylko dla nas samych, lecz także dla państw skandynawskich, Czechosłowacji, Austrii, Węgier i Rumunii. Gdybym był ministrem Inf. i Propagandy kazał bym tę pracę Kwiatkowskiego z „Przeglądu Zachodniego" przedrukować obowiązkowo wszystkim pismom w Polsce. Zwłaszcza, że zbliża się święto morza i że będzie się pewno wiele pisać głupstw propagandowych.

Na dalszą treść **„Przeglądu Zachodniego"** składają się m. in. prace: Włodzimierza Głowackiego („Problemy gospodarcze Niemiec powojennych"), Z. Rajewskiego o wykopaliskach słowiańskich na wyspie Wołyń, W. Kochańskiego „Rozwój stosunków polsko-łużyckich". W polemikach zabierają głos profesorowie Uniw. Pozn., Rudnicki na temat nazwy Nysy i Z. Wojciechowski, na temat nazwy Prusy. Korespondencje jak zwykle piszą z Bydgoszczy A. Bukowski, z Gdańska M. Peczar, z Katowic Zb. Bednorz, z Olsztyna K. Pietrzak-Pawłowski, ze Szczecina R. Łyczywek, z Warszawy St. M. Sawicka.

Pisma codzienne stolicy naszego kraju interesują się Ziemiami Odzyskanymi i w ogóle zachodnią Polską tyko przez Z. A. P. i to najczęściej tylko kronikarsko a nie publicystycznie. Brak **poważnego** stosunku do najkapitalniejszego problemu państwowego ujawnia się często; ostatnio to można było stwierdzić na III Sesji Rady Naukowej dla Ziem Odzyskanych, na którą to sesję zjechał niemal cały świat nauki i kultury polskiej, mający powiązania z problemami nadodrzańskimi. Byli wszyscy (nawet „Kuźnica" łódzka, którą reprezentowała jakaś korespondentka P. A. P. z... Krakowa!) ale nie było przedstawicieli prasy stołecznej. Notujemy żywe **od niedawna** skierowanie uwagi na zagadnienie zachodnie stoł. **„Gaz. Ludowej".** „Gaz. Lud." poczyna zamieszczać obok cennych zawsze notat Z.A.P-owych także oryginalne artykuły i prace. Po ciekawym wywiadzie jakiego udzielił pismu działacz niepodległościowy i znakomity znawca zagadnień zachodnich (nb. redaktor wyżej omawianego „Przeglądu Zachodniego") Kirył Sosnowski na temat szczegółów zachodniopolskiej konspiracji, oświetlając m. in. sytuację, w jakiej aresztowano pierwszego delegata Rządu na t. zw. Wartegau, Bnińskiego, znajdujemy świeżo w nr z 4. 7. 46 r. artykuł T. Opioła o nierozerwalnych związkach Śląska z Polską. Autor z dużym znawstwem przedmiotu omawia żywą polskość tej ziemi na przestrzeni historii, stwierdzając pod koniec: „W miarę studiów i badań celowo niszczonych lub ukrywanych dokumentów polskości, ujawni się już w najbliższych latach w całej pełni zapomniane, zapoznane i zamazywane prawdziwe oblicze Śląska, tak polskie i urocze, jak zachowana w kamieniu klasztornym twarz Regielindy, córki Bolesława Chrobrego."

Z pism literacko-społecznych warto przeczytać jak zwykle **„Tygodnik Powszechny"**, drukujący m. in. w dalszym ciągu niezmiernie ciekawe dokumenty papieskie, związane z Polską. Zaś nr 67 z dn. 30. 6. br. poza tym przynosi miłośnikom poezji piękny poemat K. I. Gałczyńskiego pt. „Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich".

Zwracamy także uwagę naszym czytelnikom na cykl artykułów o „najgwałtowniejszym człowieku tamtego pokolenia", drukowanych w tygodniku **„Dziś i Jutro"**. Jan Dobraczyński (wybitny ten powieściopisarz katolicki i essayista wystąpił niedawno w Katowicach w wieczorze literackim Z. Z. L. P.), próbuje w cyklu tych artykułów naszkicować sylwetę duchową i artystyczną twórcy „Fryderyka" Adolfa Nowaczyńskiego, tak cicho zmarłego i przykro zamilczanego dzisiaj. Szkice Dobraczyńskiego o Nowaczyńskim cechuje głębokie znawstwo dzieł zmarłego pisarza i wnikliwa analiza jego twórczości.

Drugi numer **„Warszawy"** interesuje głównie niezmiernie ciekawymi wywodami Jana Nepomucena Miller a na temat konwencjonalizmu i szablonu. Miller staje w obronie konwencjonalizmu i wytycza drogi porozumienia między twórczą a „współtworzącą gromadą".

Zby.

Ostatnia nowość!

STEFAN OTWINOWSKI

CZAS NIELUDZKI

Stron 130

zł 130,00

Do nabycia we wszystkich księgarniach „OFICYNA WYDAWNICZA" KATOWICE, ulica Młyńska Nr 2

Tel. 366-87 i 334-85 PKO III-4949

73

Co robią Niemcy

Furtwängler znowu w Berlinie — tak się cieszyło niedawno radio Berlina, kiedy odpowiednie władze alianckie wyraziły ostateczną zgodę na przybycie znanego dyrygenta Wilhelma Furtwänglera do Berlina i zatrudnienia go jako dyrygenta w Operze Państwowej. Wszystkim jest rzeczą wiadomą, że **współpraca Furtwänglera z partią hitlerowską przynosiła korzyści obupólne. Partia podnosiła swój autorytet i poczęła odgrywać pewną rolę w dziedzinie planowania i organizowania życia kulturalnego. Właśnie dzięki Furtwänglerom, biorącym za to niemałe pieniądze.** Jeszcze przed rokiem, na początku nowych Niemiec, prasa niemiecka, wyliczając co znamienitszych pracowników kultury i sztuki, którzy talentem swoim służyć poczęli hitlerowskiej propagandzie kultury, nasyconej niezdrowymi miazmatami doktryn rasistowskich, imperialistycznych itd., wymieniała z oburzeniem również i miano Furtwänglera. Dzisiaj ta sama prasa powrót Furtwänglera wita słowami pełnymi radości, a orzeczenie alianckie co do niego uważa za jedyne sprawiedliwe i konieczne. Tak to szybko przewróciły się plany o izolowaniu wybitnych współpracowników hitlerowskich:

Nic więc dziwnego, że prasa niemiecka uderza nagle w inny ton. Pisze „Berliner Zeitung", nr 136: „...po roku nowo rozbudzonej pracy kulturalnej, roku, który służył zorientowaniu (?) i gromadzeniu **wszystkich** sił, zapowiada się rok następny z pomocą Furtwänglera jako rok sukcesów i osiągnięć." (podkreślenia moje.)

Gromadzenie wszystkich sił odbywa się konsekwentnie również i na innych polach, że wymienimy tylko inicjatywę handlową. Właśnie w handlu znajduje się najwięcej hitlerowców, w przemyśle także ich jest sporo, najtrudniej im się dostać do administracji.

Niemcy nie kryją się już ze swoimi tendencjami „gromadzenia", „scalania", „przebaczania zbłąkanym". W propagandzie, poprzedzającej niemieckie „referendum", którą poprowadził Blok Partii Antyfaszystowskich, hojnie rozdawano przebaczenia. Skutek był ten, że całe grupy byłych członków partii hitlerowskiej uchwalały rezolucje, kajały się i ofiarowywały „swą współpracę wielkiej demokracji Niemiec". Tak zdarzyło się w Kamienicy-Vassberg, gdzie rezolucję podpisało 189 hitlerowców, tak było w Dreźnie, Zgorzelcu i w wielu innych miejscowościach. Prasa ich za to nazywa skromniutko i niewinnie: **„nominalni Parteigenossen"**, albo po prostu, **„kleine Parteigenossen".** W rezolucji kamienieckiej czytamy: „My nominalni członkowie partii hitlerowskiej mamy wiele do naprawienia. Wzywamy zatem wszystkich byłych członków NSDAP, by oddali swój głos dla pokoju i demokratycznej odbudowy Niemiec. Z głębokiego przekonania oddamy w referendum swój głos „tak" przeciwko zbrodniarzom wojennym i aktywistom-nazistom".

Teraz każdy hitlerowiec uważany jest tylko za „nominalnego". Granica między istotną zbrodniczą działalnością a samą legitymacją partyjną zaczyna zanikać. **„Nominalizm", nowa igraszka polityczna prasy niemieckiej, to wielki prąd oczyszczający, rehabilitacja na słowo, która do pełni praw przywraca dziesiątki tysięcy zbrodniarzy.**

Tyle o „wybaczaniu zbłąkanym". Akcja propagandowa, głosząca „scalenie" („Deutsch und zusammen" — **głoszą afisze na terenie zagłębia Ruhry, to samo hasło propagują niektóre tajne pisemka hitlerowskie w Austrii, donosiła o tym przed kilku miesiącami wydawana we Wiedniu gazeta amerykańska),** atakuje ostro swoich przeciwników. Odbywają się wiece i ogłasza się protesty przeciwko jakimkolwiek separatystom, dążącym do oderwania od Niemiec lub choćby tylko do politycznego usamodzielnienia którejś krainy niemieckiej. „Radni miasta Gelsenkirchen w Zagłębiu Ruhry, wzorem innych miast, zaprotestowali ostro przeciw wszelkim dążeniom separatystycznym i domagali się pozostawienia Zagłębia Ruhry jako części składowej Niemiec." Tyle mówi notatka prasowa („Berliner Zeitung"). „Nürnberger Nachrichten" donoszą zaś, że w księgarniach norymberskich pojawiła się mapa Niemiec i Austrii, na której niemieckie miasta, jak Wasserburg czy Berchtesgaden, znalazły się na terytorium austriackim. Gazeta opatruje to takim komentarzem: **Są to już nie jakieś separatystyczne wyskoki, ale zwykłe imperialistyczne mrzonki austriackie, których ani my, ani alianci tolerować nie nie będą.** „Berliner Zeitung", pisząc o tej mapie, zauważa, że jest ona „pożałowania godnym symptomem narodowego bezwstydu". **Jednym słowem niedobrze wiedzie się, separatystom niemieckim i znowu na wszystkich odcinkach zwycięża nacjonalizm, idea Niemiec całych, wielkich i niepodzielnych.**

Na tym tle, na tle tak określanej i tak realizowanej „demokracji", dziwnie brzmi **wiadomość o aresztowaniu bawarskich antyfaszystów.** Oto pięciu wybitnych komunistów bawarskich chciało się dostać w lutym na ogólnoniemiecką konferencję Partii Komunistycznej do Berlina. Nie uzyskawszy przepustki strefowej, przekroczyli granicę strefy okupacyjnej nielegalnie. W tych dniach odbył się ich proces. **Skazano ich na cztery miesiące więzienia. Karę zaczęli odsiadywać 20 czerwca, a więc zaledwie 10 dni przed wyborami do bawarskiego sejmu ustawodawczego.** Jeden ze skazanych, Georg Fischer, został równocześnie pozbawiony funkcji podsekretarza stanu w bawarskim ministerstwie gospodarki.

Z tejże samej amerykańskiej strefy nadeszła wiadomość, że **w pierwszych czterech miesiącach bieżącego roku aresztowano tam ponad 100.000 osób.** 12 procent aresztowanych było obcokrajowcami.

W Berlinie liczba aresztowanych w tym samym okresie wyniosła ponad ćwierć miljona. Ale w Berlinie umieją już używać więźniów do pożytecznych robót. Ostatnio używa ich się do usuwania gruzu. 254 firmy w 560 miejscach Berlina oczyszczało przy pomocy niewielu kobiet i mężczyzn miasto z gruzów. Tak było na początku akcji odbudowy Berlina. Dzisiaj przy 164 tysiącach metrów szyn kolejki, wywożącej gruz, przy 240 bagrach, 45 lokomotywach, 37 maszynach oczyszczających cegłę, 14 kolejkach linowych itd., pracują Niemcy i więźniowie. Ostatnio znaleziono miejsce dla wywiezienia 50 tysięcy metrów sześciennych gruzu; znajduje się ono obok jeziorka rummelsburskiego.

O Berlinie odbudowującym się kręci się filmy. W ogóle filmy kręci się na terenie całego Berlina. Obok Defy zaczął pracować także Tobis-Klangfilm. Na otwarcie nowego atelier Tobisu w Johannesthalu wygłosił przemówienie dr Wilkeming, w którym podkreślił, że Tobis rozpoczyna swą działalność dzięki pomocy Czerwonej Armii, Sojusintorg-Filmu, magistratu miasta Berlina, oraz Deutsche Film A. G. Znany reżyser filmowy Gerhard Lamprecht kręci obecnie film młodzieżowy p. t. „Gdzieśkolwiek w Berlinie".

Odbudowa filmu niemieckiego postępuje naprzód z odbudową teatru, rehabilituje się pośpiesznie i skwapliwie aktorów. „Najlepszą rehabilitacją dla niemieckiego aktora będzie to, że zagra w antyfaszystowskim filmie." Tak napisała „Die neue Zeitung". I taka jest moralność niemiecka. (wisz)

Krótkie spięcia

Burza, jaką rozpętał A. M. Swinarski swym artykułem w „Dzienniku Polskim", nazywając literatów śląskich „ubogimi krewnymi", spowodowała dalsze grzmoty w odpowiedziach Niejakiego X. Potem ryknął z matecznika radiowego Hierowski, syknął Brzoza, zakrakał Szewczyk. Jeżeli chodzi o Nachta, to obszczekuje każdego mieszając wyraźny, jednolity front „proletariatu literackiego" przeciwko mistrzowi Arturowi Marii. Nacht, o ile mu tylko rym zaskoczy, w braku godniejszych ofiar, gryzie sam siebie.

Używam celowo tych animalizacji, by podkreślić odwagę Swinarskiego, który śmiało i samotnie pogrąża się w „dżunglę literacką" pełną wrogów. Niebezpieczeństwa tego kroku, budzące grozę przeżycia maluje wymownie w ostatnim „Jutrze".

Zdawać by się mogło, że artyści śląscy to kłębowisko żmij. Ponure stado drapieżników. Tak przynajmniej wmawiają w przeciętnego czytelnika. I najzabawniejsze, że czytelnik w to wierzy. Łapie za taki artykuł i rżąc radośnie, czeka na nowy cios.

„Ale go zerżnął! Ten go obazgrał! Czekaj, zobaczysz, co mu tamci wyrąbią!" — myśli. Czeka, teraz zwłaszcza na trochę gorzkiej prawdy, cieszy go to ściąganie z cokołu. Zaczyna przeżywać emocje jak przy spotkaniu ringowym. Wierzy, że zaraz poleje się krew. Czeka! Niecierpliwi się!

Dosyć tej zabawy! Proszę Państwa, demaskuję te chwyty. To wszystko lipa. Krew się nie poleje wcale! Groźne ciosy, zdradzieckie pchnięcia, bolesne upadki — to wszystko umówione. Ktoś mógłby pomyśleć, że śląscy literaci, zresztą to odbicie w krzywym zwierciadle całej współczesnej literatury — żrą się, ryją pod sobą, nienawidzą się śmiertelnie. Całkowita pomyłka, błędne mniemanie — to tylko pewna taktyka, chwyt nie nowy zresztą, stosowany już po mistrzowsku przez naszych nieśmiertelnych, którzy sami na siebie piszą złośliwe dowcipy, przypominając się stale czytelnikom, jednając sobie popularność i sławę. Te chwyty używają ze świetnym skutkiem łódzcy geniusze autoreklamy. Krzyk, alarm, wygrażanie, zbiega się tłum, łapią ich za ręce, przytrzymują, przeżywają dreszcze, są zadowoleni, że nie „dopuścili" do ostateczności i trochę zawiedzeni, że przeciwnicy tak łatwo dają się uspokoić.

Proszę Państwa, nie dajcie się dłużej nabierać! Hierowski uzgodnił swój napastliwy artykuł ze Swinarskim. Artur specjalnie na jego żądanie dodał ten passus o „brudnych rękach" w swej ciętej odpowiedzi, bo wiadomym jest, że właśnie Hierowski należy do niewielu ludzi czystych rąk. Ale szum się robi, ale grom nie rażący nikogo uderza! To wszystko taktyka, by choć trochę ściągnąć uwagę czytelnika na prace literackie, no i na siebie.

Chcecie wiedzieć prawdę? Z pojedynkami literatów jest jak z walkami zapaśników zawodowców. Stękania, obelgi, ryki i zmaganie — a potem, po obliczeniu kasy maszerują razem na wódkę. Tak, zobaczcie, co się dzieje w Kawiarni Literackiej — po północy, w czarne piątki — wtedy właśnie zasiadają przy wspólnym stole oficjalni wrogowie i przeciwnicy. Oh, nie tylko ich za dnia dzielą spory literackie, ale światopogląd, idee, przynależność partyjna. Siedzi A. M. Swinarski przy Hierowskim, Nacht koło Żukrowskiego, Butryńczuk z Dąbrowskim. To wszystko jedna sitwa.

Tylko idzie o malutki drobiazg, żeby w tych kaskadach słów, strzelaninie z bicza, wykrzywianiu gęby, w tym podglądaniu się w przysiadzie, szczypaniu w zachodnie półkule, wzajemnym pogrążaniu się w sobie — nie zgubić spraw najważniejszych. Bo można nagle zostać samemu, publiczność odejdzie i błaznować będziemy w pustej budzie.

Ostatecznie powiedzmy sobie prawdę, na dłuższą metę każdy z nas, nasze troski, triumfy i nasze pchły, przestają być ciekawe. Zato wiecznie porywające jest życie, przemiany socjalne, odbudowa, sprawy człowiecze, proste i wielkie.

Dlatego boję się, że krygując się przed publicznością, zapominamy o właściwych obowiązkach, o społecznej służbie pisarskiej. Bawić i uczyć, kierować i prowadzić. Spojrzyjcie na świetne odbicie dokonującej się rewolucji w reportażach Gila, a ostatnio Jarochowskiej, zamieszczanych w „Odrodzeniu". Na pewno więcej dadzą dreszczów i zmuszą do myślenia czytelnika bardziej, niż cała ta literacka corrida. Uwaga Mijają nas!

P. S. Stwierdzam, że w sprawie przydziału materiałów na ubranie, oraz dodatkowej paczki UNRRA, jak i skromnych 9-ciu nagród projektowanych na Śląsku — wszyscy literaci głosowali jednomyślnie trzy razy tak. Szkoda, że to nie ma wpływu na realizację powyższych postulatów.

W. Ż.

STANISŁAW PIĘTAK

Front nad Wisłą

Cykl opowieści

Stron 181 Cena zł 155

SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZA »CZYTELNIK«

72

Od Redakcji

W czasie trwania urlopu redaktora naczelnego „Odry" Wilhelma Szewczyka p. o. redaktora naczelnego jest Zbyszko Bednorz.

Z powodu wyjazdu na urlop naszego recenzenta filmowego Aleksandra Baumgardtena w bieżącym i w dwóch następnych numerach nie będziemy drukować recenzyj z kin katowickich p. t. „Patrzymy na ekran".

Redaguje komitet. Red. naczelny: **Wilhelm Szewczyk.** Adres redakcji: Katowice, 3. Maja 36a (II p.), tel. 325-58. Adres administracji: ul. 3. Maja 12. — Ogłoszenia przyjmuje Sp. Wyd. „Czytelnik", ul. 3. Maja 12. Prenumerata miesięczna 28 zł, kwart. 80 zł. Konto czekowe PKO. — III 4960. Druk: Drukarnia nr 9. Spółdzielni Wydawn. „Czytelnik" Katowice, 3. Maja 12. Wydawca. Sp. Wydawn. „Czytelnik"

R 23038